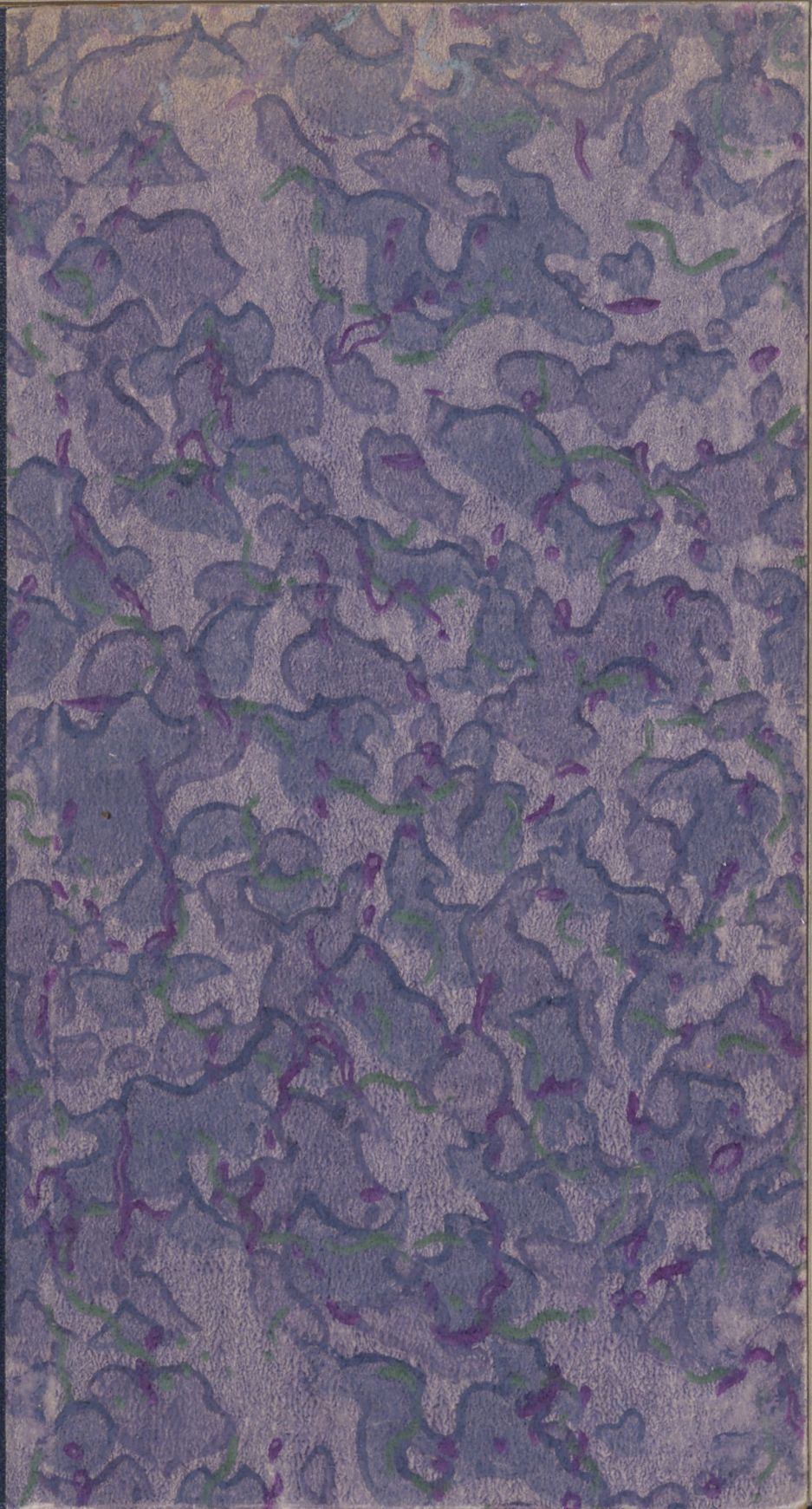


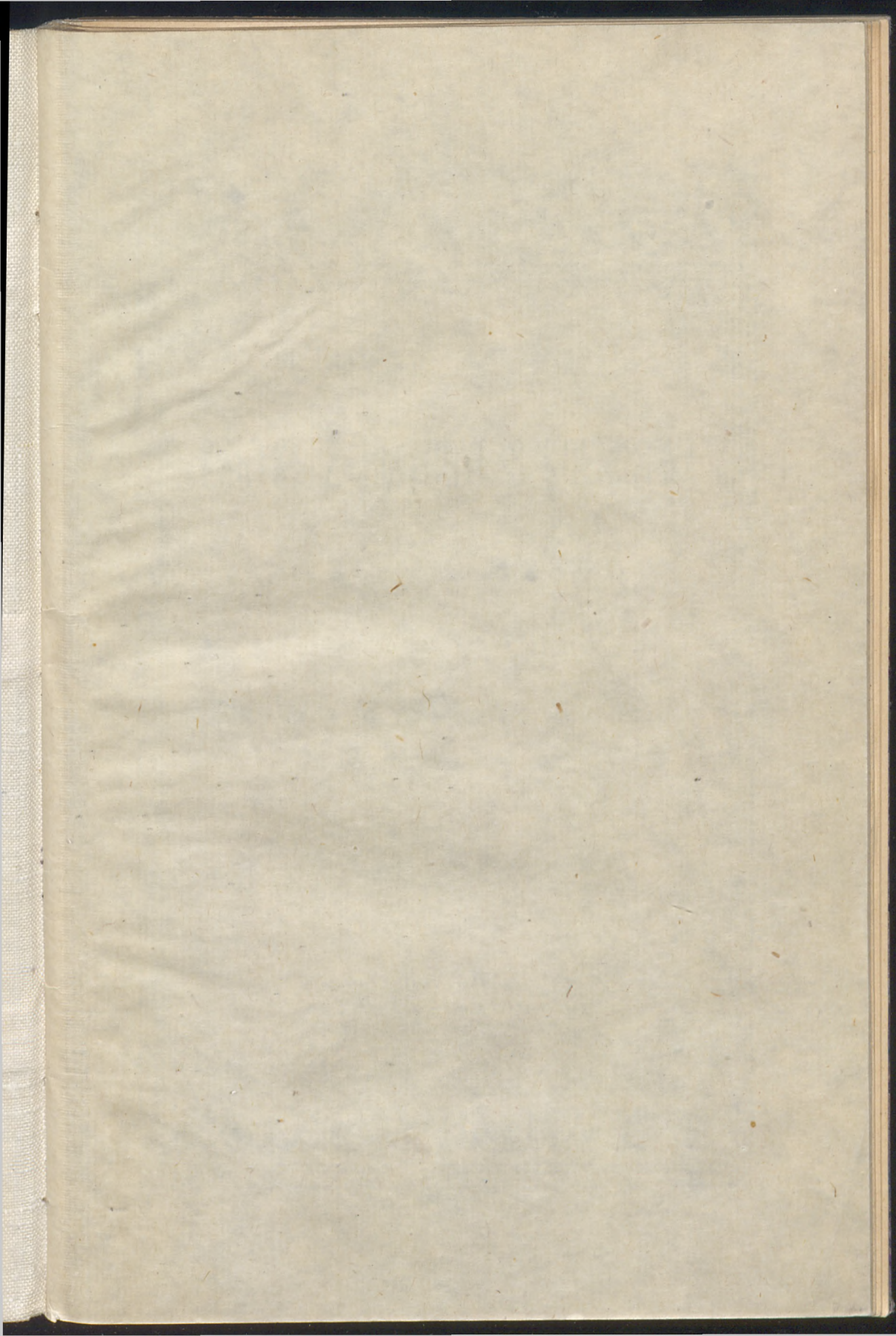
69700















30 II. 69. 100

FR. RAWITA-GAWROŃSKI.

# KARTKI Z HISTORYI SZKOLNICTWA

POD

ZABOREM ROSYI.

GIMNAZYUM W NIEMIROWIE NA PODOLU

W POŁOWIE XIX. W.

Odbitka z „MUZEUM”.

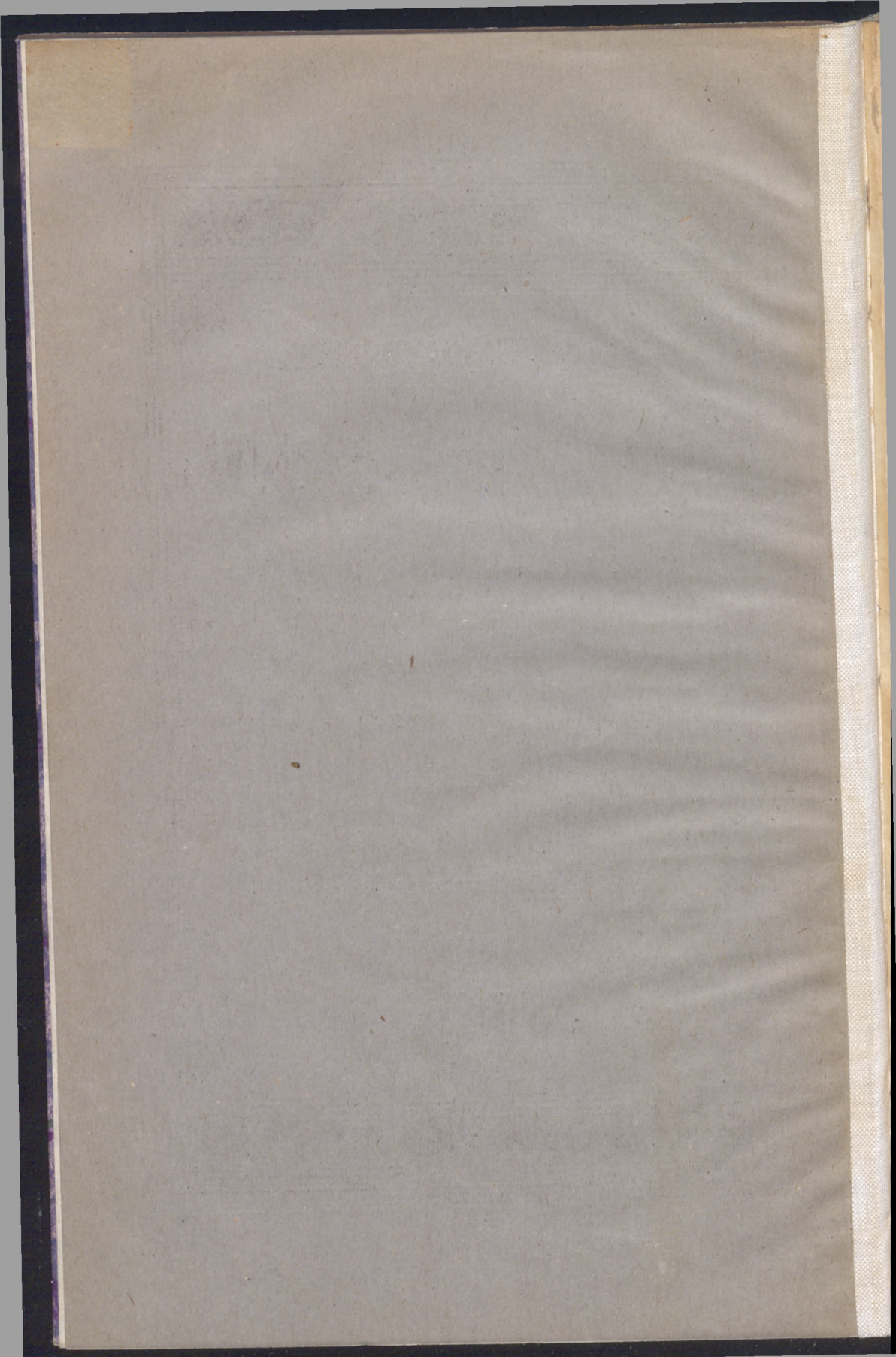
LWÓW.

JAKUBOWSKI I ZADUROWICZ.


Z I. ZWIĄZKOWEJ DRUKARNI W ŁWOWIE.

1895.









FR. RAWITA-GAWROŃSKI.

KARTKI Z HISTORYI SZKOLNICTWA

POD

ZABOREM ROSYI.

GIMNAZYUM W NIEMIROWIE NA PODOLU

W POŁOWIE XIX. W.

Odbitka z „MUZEUM“.

LWÓW.

JAKUBOWSKI I ZADUROWICZ.

Z I. ZWIĄZKOWEJ DRUKARNI W ŁWOWIE.

1895.







II.69.700

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001005042090

1949 K57/285



### *I. Pogląd na stan i charakter szkolnictwa do roku 1830.*

Po upadku politycznego bytu Rzeczy polskiej zabłysła świetna chwila ekonomicznego i umysłowego rozwoju społeczeństwa, która przypadła na sam okres wojen Napoleońskich i wkrótce po nich zgasła. Litwa, Wołyń, Podole, Ukraina już były pod rządami Rosyi, a tam właśnie rozpoczął się ten rozkwit umysłowy, który nam zgłotował świetną epokę romantyczną po r. 1830 i wzmocnił siły narodowe do wytrwania i oporu, przez pół wieku następujących po sobie ciosów i klęsk. Rozkwit ów był pracą przygotowawczą poprzedniego pokolenia i przez jedno pokolenie trwał tylko — jakby na świadectwo do czego są zdolne siły umysłowe narodu naszego, jeżeli okoliczności pozwolą na spokojną pracę. Rosya w czasie wojen Napoleońskich, sama zagrożona rozbiciem na małe państewka i utratą bytu politycznego, nie miała dość mocy ani też pewności siebie ażeby stosować do niedawno podbitego narodu system niwelacyi państwowej, z konieczności przeto zachowała nam używanie praw cywilnych, chociaż pozbawiła

---

Źródła z jakich korzystałem przy ułożeniu niniejszego szkicu są następujące:

Istoriczeskaja zapiska o Niemirowskiej gimnazii. Sostawił S. Stribulskij. Niemirow 1888. Urzędowe sprawozdanie z powodu 50-cio letniego jubileuszu istnienia szkoły.

Wspominanija Josifa Samczewskawo (Kijew. Starina r. 1894). Autor był inspektorem gimnazyalnym w Niemirowie w r. 1848.

Wspominanija M. K. Czaławo. W ciągu kilku lat był profesorem literatury rosyjskiej w tejże szkole (Kijew. Star. 1894).



niezależności. Dzięki tej tylko okoliczności mogliśmy przez 25 lat prawie pracować spokojnie.

Rok 1803 posłużył punktem wyjścia niejako dla tej pracy. W roku tym otwarty został uniwersytet w Wilnie, a równocześnie prawie utworzony Wileński okręg naukowy, który objął Litwę, Wołyń, Podole i Ukrainę. Jako Kurator na czele tego okręgu stanął ks. Adam Czartoryski, wizytatorem zaś na trzy gubernie południowo-zachodnie naznaczony został Tad. Czacki. Jaką gorliwość rozwinął niepośpolity ten mąż w zakresie szkolnictwa, czem był dla niego i jakie szkoły stworzył — to należy do historii szkół w Polsce. Dość powiedzieć, że w ciągu dziesięcioletniej tylko swej działalności liczbę zakładów naukowych na Ukrainie, Podolu i Wołyniu podniósł z 5 na 127 i zebrał milionowy fundusz na te szkoły. Zbierał podpisy po domach obywatelskich, a wszędzie był ze współczuciem i ze czcią winną takiej ofercie przyjmowany. Zbierał także na kontraktach kijowskich. Większa część obywateli podzielała szlachetne widoki Czackiego — i tylko tej okoliczności przypisać należy, że w ciągu krótkiego okresu prywatną inicjatywą zrobiono tyle ile w żadnym państwie oświecone rządy nie robiły w owym czasie. Ażeby dać miarę tej ofiarności publicznej dość powiedzieć, że szlachta tylko ukraińska t. j. gubernii kijowskiej złożyła na otwarcie gimnazjum w Kijowie w ciągu jednego roku rs. 450.000, tak że dzięki tej ofiarności już 30. stycznia 1812 otwarte zostało gimnazjum, w którym wykładano z języków: rosyjski, polski, niemiecki, francuski, łaciński, grecki; z innych nauk: filozofię, naukę o handlu, literaturę, historię, ekonomię polityczną, geografję, niższą i wyższą matematykę, fizykę, chemię, technologię, rzymskie i rosyjskie prawo, nauki przyrodnicze, gospodarstwo wiejskie, architekturę, fortyfikację; ze sztuk: rysunki, muzykę, fechtunki i tańce. Wykłady prowadzone były w języku rosyjskim.

Zapał, rozbudzony do nauki, przyniósł, oprócz światła, i ten niezaprzeczony pożytek publiczny, że domy obywatelskie, zapchane do niedawna koczującą hordą napływowych Francuzów, szukały

---

Ramoty starego Detiuka o Wołyniu zebrał Ant. Andrzejowski t. 4. Wilno 1861.

Wspomnienia. Pamiętnik Fran. Kowalskiego t. 2. Kijów 1859.

K. I. T—i: Oczerk istorii goroda Umani. (Kijew. Star. Awgust 1888).



odtąd przewodników do edukacji swych dzieci pośród rodaków i kosmopolityczny kierunek wychowania zmieniać się począł. Nadzwyczajne rozbudzenie się do światła całego społeczeństwa Litwy i Rusi było kamieniem węgielnym przyszłej pomyślności krajowej i tylu naraz zdolnych ludzi wydało, że niekiedy w ciągu stóleci całych długo na ich przyjście czekać potrzeba. Między-rzecka szkoła, dotąd pierwsza na Wołyniu nie wystarczała dla przygotowania się dostatecznego do uniwersytetu, okazała się potrzeba obszerniejszego wykładu wyższych nauk i tej potrzebie odpowiadało zorganizowanie Wołyńskiego gimnazjum. Cisnęła się tam zewsząd młodzież wszelkiego stanu, bo podwoje tej świątyni dla biednych równie jak i dla bogatych otworem stały. W roku drugim po otwarciu szkoła krzemieniecka liczyła już 700 uczniów. Skład nauczycieli był bardzo dobrany. Wydział matematyczno-fizyczny był świetny, literaturę wykładali Osiński, Słowacki, Feliński, historię Uldyński, prawo Jaroszewicz i Choński.

Nadzwyczajny rozwój gimnazjum Wołyńskiego, szeroka sława wśród społeczeństwa, jakiej zażywało, budziła pewien niepokój ze strony uniwersytetu Wileńskiego. Obawy te były poniekąd uzasadnione i podniecały tajemną rywalizację między Krzemieńcem a Wilnem, jaka niegdyś istniała między akademią krakowską a lwowską ze zgorszeniem i szkodą publiczną. Wiadomo, że Czacki zamyslał o podniesieniu gimnazjum Wołyńskiego na stopień wyższy, ale Jan Śniadecki opierał się temu zamiarowi, a stąd między nim a Czackim zrodziła się niechęć i byłaby doprowadziła do zerwania stosunków przyjaznych, jakie ich łączyły, gdyby kurator nieuspokajał Czackiego, ukazując mu w przyszłości wywyższenie ulubionej szkoły, a Śniadeckiemu perswadując zwolna, że utworzenie uniwersytetu w prowincjach południowych zabranego kraju z czasem nastąpić może i musi. Było to także życzeniem obywateli Wołynia, Podola i Ukrainy.

Dążąc do zrealizowania tej myśli, książę kurator polecił tymczasowie zamienić gimnazjum na Liceum, a trzy komisye: z łona uniwersytetu wileńskiego, obywateli i władz gimnazjalnych zajęły się opracowaniem planu nauk. Dyrektorem liceum został Alojzy Feliński.

Nie mam zamiaru opisywania ani dalszego rozwoju liceum, ani jego losów, bo nie piszę historii szkół w zabranych krajach. Pragnę przed oczy czytelnika postawić tylko jedną chwilę z dzie-



jów szkolnictwa, która bezpośrednio prawie po wielkich reformach Czackiego nastąpiła, a miała już inne cele i zadania przed sobą.

Przyszedeł rok 1830 a z nim kardynalne zmiany. Liceum zamknięte zostało. Rząd coraz jaśniej formułował sobie plan ucisku szkolnego, który miał pozostać typowym na przyszłość, a do wykonania tego planu coraz podlejsze postacie powoływał. Na miejsce każdego uczciwego człowieka, który się usuwał ze stanowiska lub schodził do grobu — stawał łotr po łotrze, niemający pojęcia często o nauce żadnej a tem bardziej o pedagogii. Płacono takim zbirom — za wykonywanie na praktyce polityki rządowej. W roku 1832 w roli kuratora wystąpił generał Fiłatjew, który zjechawszy do Krzemieńca, kazał profesorom zgromadzić się w sali bibliotecznej, wyłajał wszystkich z amatorstwa, zwiedził bibliotekę i gabinety, ale nic go nie zajmowało, wszędzie przeszedł, ledwie popatrzywszy w koło siebie. Sekretarz Fiłatjewa oznajmił dyrektorowi że trzeba ażeby liceum wystąpiło z obiadem dla kuratora. Nie było nic innego do zrobienia jak zebrać składkę — zebrano dziesiąty grosz od pensyi, której pobierano połowę, pożyczono sreber, nakrycia, kupiono wina — i uczczono generała. Znalazło się kilkadziesiąt osób przy stole, a choć liczne były toasty i libacje, wina jednak zostało dosyć; profesorowie cieszyli się nadzieją, że będą mogli bodaj część kosztów pokryć z pozostałego wina, lecz je dostrzegł sekretarz i — kazał upakować na drogę dla kuratora. Objadłszy się i upiwszy, kurator obiecał łaskę carską profesorom, ale już w rok potem w mury Krzemieńca zawitał nowy kurator generał von Bradke, który oznajmił, że łaską tą będzie przeniesienie liceum do Kijowa. Dalsze działanie nowego kuratora dotyka bezpośrednio tej doby, o której mówić będę.

W gimnazyum Winnickiem niepospolicie zdolni ludzie udzielali swego światła chciwej nauk młodzieży, a młodzież ta kochała ich całym sercem jak ojców, jak najlepszych przyjaciół, którzy ją również kochając, dbali o jej rozum i serce. Nie było przykładu aby uczeń swemu nauczycielowi stawiał się kiedy zuchwale, aby go kiedy obraził, albo znieważył, bo nauczyciele i uczniowie stanowili wtedy jedną rodzinę, złożoną ze starszych i młodszych członków. I tak było po wszystkich szkołach — dodaje F. Kowalski.

Szkoły Winnickie pierwsze trzymały miejsce po Krzemienieckich. Nie mając tyle funduszków nie mogły z niemi iść w po-



równanie co do bogactw biblioteki i różnych gabinetów; katedry mniej były uposażone i nauki poważne — matematyka, fizyka, chemia nie tak wysoko szły jak w Krzemieńcu, ale natomiast łacina, historia i literatura nie ustępowały krzemienieckim. Języki grecki i łaciński wykładał biegły starożytnik Ignacy Jagiełło, uczeń Grodka, Józef Uldyński historię — poszedł później do Krzemieńca, Jan Styczyński literaturę polską. Ze szkoły tej wyszli Mikołaj Malinowski, historyk, tłumacz Wapowskiego, Szczeniowski, Tomasz Padurra, Aleksander Jełowicki i tysiące innych dzielnych obywateli i ludzi.

Na Ukrainie głośnie były szkoły w Humaniu tragicznym losem swoim w r. 1768 i znakomitymi ludźmi, którzy stamtąd wyszli. Księża Bazylianie kosztem hr. Szczęsnego Potockiego wybudowali gmach z cegły i założyli sześcioklasową szkołę według wzorów już istniejących w owe czasy szkół. Jakkolwiek Bazylianie mieli na celu tylko szerzenie oświaty, Rosya niechętnym okiem patrzyła na nich, dopatrując się tam propagandy unickiej i już w r. 1827 chciała klasztor skasować; nie uczyniła tego jednak raz z powodu że szkoła ta należała do najbardziej uczęszczanych, a powtórnie nie było narazie gmachu, do któregoby rząd tak liczną szkołę mógł przenieść. Dopiero w r. 1831 zamknięto szkoły i skasowano klasztor, w roku zaś 1834 całą Humańszczyznę, należącą do Aleksandra Potockiego, skonfiskowano na rzecz rządu. Ze szkół humańskich wyszli Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński, Grabowski i w. innych.

Do tego samego typu należały szkoły w Kaniowie, Klewaniu, Międzyrzeczu, Międzybożu, Kamieńcu-Podolskim, Barze i in. miastach. Rząd rosyjski znosił je powoli i systematycznie zarówno dla tego że kołatał się w nich jeszcze niedobity duch polski jak i dla tego, że przeniesienie ogniska szkolnego na inne miejsce rozbijało niejako z konieczności szlachtę grupującą się koło tego ogniska, zmuszając ją albo do powrotu do domu, na wieś albo do szukania nauki dla swoich dzieci zdala od miejsc rodzinnych. Oddalenie dzieci od rodziców było także środkiem ułatwiającym rusyfikację, a rząd usilnie nad tem pracował ażeby młodzież polską otoczyć sferą urzędową swoją, przepojoną duchem rusyfikacyi. Począwszy od chwili zdobycia Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy przez Rosyę, rusyfikacja szkół pod względem ducha i języka postępowała systematycznie ale bezustanku, a już ku



końcowi drugiego dwudziestopięciolecia naszego wieku stanęła na tym punkcie programu, planu i ducha, na jakim dziś stoi w Królestwie Polskiem.

Pokażę czytelnikowi jedną szkołę taką na Podolu, w Niemirowie, nie dla tego, ażeby jedna tylko była taka, lecz dla tego, że do historii tej szkoły wyjątkowo zgromadził się materiał pierwszorzędno znaczenia, niepodlegający prawie zarzutowi stronności, bo dostarczony przez byłych nauczycieli gimnazjum w Niemirowie.

*II. Kilka słów o szkole Niemirowskiej do przybycia dyrektora Zimowskiego. Stosunek rodziny Potockich do szkoły. Zamknięcie szkoły. Otwarcie w r. 1838 z nowym programem. Polityka w szkole. Internaty. Przybycie Zimowskiego. Charakter i działalność tego człowieka jakoteż karjera służbowa. Pomocnik dyrektora Malcen. Wybryki osobiste Zimowskiego i sposób traktowania ludzi.*

Po burzliwych kolejach i losach politycznych tego miasteczka, po dniach rzezi z czasów Chmielnickiego, po gospodarstwie w niem Lipków, po krótkich ale dzikich rządach Jurasia Chmielniczenka, którego Turcy posadzili na księstwie Sarmackiem, stolicę jego w Niemirowie naznaczywszy — nastały czasy półsennego życia, uderzającego ku końcowi XVIII. w. coraz cichszem tempem. Sąsiedztwo z początku Baru, później Braclawia i Tulczyna wciągało i Niemirów w koło wesołego życia jakie wrzało na dworze Tulczyńskim. W miasteczku i koło miasteczka roiła się szlachta, potomkowie dawnych dzierzawców, ekonomów, pełnomocników i gubernatorów wielkich fortun, którzy sami dorobiwszy się fortuny zasiadali na roli jako posesyonaci.

Jeszcze za czasów Rzptej w r. 1785 podkomorzy Wincenty Potocki ufundował w Niemirowie z własnych funduszków niewielką szkołkę na 12 chłopców ubogiej dziatwy, z najbliższego swego otoczenia. Rozbudzenie się chęci do nauki wśród szlachty w najbliższem sąsiedztwie było tak wielkie, że w dziesięć lat po założeniu szkoły, kiedy Niemirów należał już do Rosyi, w r. 1795 w szkółce Niemirowskiej liczono 241 uczniów i 12 nauczycieli, a we cztery lata liczba uczniów podniosła się do 360. Wówczas szkołka miała już pięć klas, w których wykładano prawie wszystkie przedmioty późniejszych gimnazyów, a niezależnie od tego anatomię, nauk



przyrodnicze, język polski i muzykę. W początkach XIX. w., kiedy w południowo-zachodnich prowincjach Czacki rozpoczął reformę szkół, szkoła w Niemirowie nie wiele różniła się od „gimnazjum“ Wołyńskiego i Winnickiego. Pomimo dość wysokiego, jak na owe czasy, programu nauk, opierała ona swoją materialną egzystencję bardzo mocno na łasce rodziny Potockich i trwałej przysiężności nie miała przed sobą z braku funduszy stałych. Dopiero w r. 1805 Szczęsny Potocki, którego autor urzędowej monografii szkoły Niemirowskiej nazywa „Jegor“, zapisał na utrzymanie jej rs. 18.476 i zobowiązał sukcesorów do wypłacania 5% od tej sumy, zaś Zofia Potocka wybudowała na swój rachunek gmach szkolny i kilka domów dla profesorów. Trwało to do r. 1815 kiedy szkoła zreorganizowaną została i przemianowaną na powiatową z tytułem „Bracławsko-Hajdyńska“. Nauka szkolna trwała, jak dawniej, przez pięć lat, ale klas było cztery, lecz kurs ostatni klasy czwartej, był dwuletni. Program nauk był gimnazjalny, w mniejszym tylko nieco zakresie. Program ten w dalszym ciągu rozszerzał się przez wprowadzenie do niego nauk praktycznych: pomiaru ziemi, nauki handlu, rolnictwa, sadownictwa, technologii, rysunków, jakoteż wymowy. Zważywszy, że do szkoły uczęszczała przeważna część młodzieży szlacheckiej, która potem do roli wrócić miała i na niej całe życie pracować, przyznać trzeba, że plan taki nauk był użyteczny i celowy. Odpowiadał on zresztą zasadniczym myślom Czackiego i był niejako dalszym ciągiem jego pracy. Rząd rosyjski burzył jego dzieło powoli, stopniowo przeprowadzając swój plan wszechstronnej russyfikacji Polaków.

W r. 1830 rząd pozwolił na otwarcie klasy piątej i szóstej w takim zakresie ażeby uczniowie wprost mogli ze szkoły przechodzić do uniwersytetu. Krótko jednak trwały nadzieje na dłuższe utrzymanie się przy życiu pięknych tradycji szkolnych Czackiego. Rząd rosyjski przekonał się wkrótce, że Polacy nie mogą zaprzeczyć się tak łatwo swoich ideałów narodowych jakby on pragnął, postanowił przeto obostrzyć system zjednoczenia. Rok 1831 wyraźnie wskazał Polakom czego sobie rząd rosyjski żąda i dokąd dąży. Najmilościwszy ukaz carski jednym pociągnięciem pióra zamknął 280 szkół średnich na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, ażeby je potem móżdż przenieść na inne miejsce lub przekształcić w miarę potrzeby. Jakkolwiek wszystkie szkoły fundowane były przez szlachtę, rząd bez wahania się zabrał fundusze szkolne, a szkoły



przenosił do punktów, w których najmniej skupiała się szlachta. Ofiarą ukazu padł także Niemirow, którego inwentarz szkolny przeniesiony został do Kamieńca podolskiego. Skasowane zostały nie tylko szkoły, lecz w pozostałych i język wykładowy polski. Od tej chwili rząd postanowił wprowadzić język rosyjski i kierunek rosyjski szkołom nadać. Jak ten kierunek wyglądał we dwadzieścia lat potem — obaczymy nieco później.

Po dwuletniej przerwie w istnieniu szkoły niemirowskiej, Bolesław Potocki, ówczesny właściciel Niemirowa, zdołał wpływem swoim i prośbami wyjednać otwarcie czteroklasowej szkoły w Niemirowie, która w r. 1838 przekształconą została na gimnazjum dzięki temu, że ten sam Potocki przyrzekł w imieniu własnym i swoich następców wybudować potrzebne gmachy szkolne i wypłacać rocznie na utrzymanie szkoły 4274 rs. Ustawa szkolna z r. 1834 zastosowaną była do Niemirowa. Polecała ona, między innemi, „ażeby repetytorowie“, przeznaczeni do powtarzania lekcji z uczniami klas niższych, jakoteż ci, u których uczniowie mieszkali na stancyach, rozmawiali z uczniami tylko po rosyjsku — dla wzmocnienia znajomości języka rosyjskiego. Nie dało się to na razie tak rychło osiągnąć, gdyż Bibików (1848—1852), generał-gubernator kijowski, lubiący opiekować się szkołami i młodzieżą polską, uskarżał się że uczniowie nie dość dobrze władają „językiem ojczystym“, czyli wyrażając się inaczej: źle mówią po rosyjsku. Nic dziwnego. W pierwszych latach zorganizowanej szkoły Niemirowskiej było tylko 48 uczniów Rosyan, a 500 Polaków.

W celu „wzmocnienia“ znajomości języka rosyjskiego, jako też wszczepienia w młodzież „ducha rosyjskiego“ władze zwierzchnicze szkolne usiłowały wszelkimi sposobami „przekonać“ rodziców uczniów ażeby dzieci swoje lokowali na stancyi u dyrektora, inspektora i profesorów. Naturalnie, tu dopiero występowała rola i znaczenie „repetytorów“ w całym blasku politycznego zabarwienia. „Repetytor“ był w dosłownem znaczeniu guwernerem oddanych pod jego opiekę uczniów i najbliższym pomocnikiem zwierzchności szkolnej. Rola pomocników określoną była urzędowo: obowiązani byli oni zwracać uwagę na praktyczne wyćwiczenie uczniów w języku rosyjskim, a w tym celu obowiązani byli rozmawiać z uczniami nie tylko w czasie przesłuchiwania lekcji, lecz także w czasie rekreacji, śniadań, obiadów i wiecze-



rzy. Wiemy już jaki procent istniał Polaków w Niemirowie. Równocześnie prawie z instytucją „repetytorów“, mianowicie ukazem z d. 23. kwietnia s. s. 1840 r. utworzone zostały internaty (obszczije kwartiry), ażeby wrzekomo dać możność rodzicom, którzy nie mogli sami mieszkać w miejscu gdzie była szkoła, ulokować tanio, wygodnie i pod pewnym dozorem dzieci swoje. W rzeczy zaś samej był to jeden ze sposobów ruszczenia polskich dzieci, którym w internatach nie wolno było rozmawiać po polsku. Kierunek i dozór internatów oddany został pod władzę gimnazjalną — rosyjską — i dozorców Rosyan lub ludzi zaprzędanych Rosyi. Poznamy się dalej nieco z instytucją internatów na praktyce, jakoteż z przewodnikami i opiekunami młodzieży w Niemirowie.

„Naczelstwo“ rosyjskie wprowadziło do internatów klasowość, której polskie szkoły nieznały i tego podziału, szkodliwego pod względem moralnym, przestrzegano pilnie. W Niemirowie były cztery oddziały internatów, stosownie do ustawy z roku 1840, według wysokości opłat wnoszonych przez uczniów na utrzymanie, a więc 150 rs., 100 rs., 75 rs. i 50 rs. W późniejszym czasie internaty zmodyfikowano o tyle, że doprowadzono je wszędzie do jednego typu.

Rząd rosyjski, ktoremu brakło fachowych ludzi na wszystkich stanowiskach, pragnął z gimnazjum uczynić taki zakład szkolny, któryby dawał na przyszłość największą liczbę urzędników. To było powodem nowej reformy szkolnej wogóle, która naturalnie i Niemirow dotknęła. Reforma polegała na tem, że poczynawszy od r. 1849—1850 cztery klasy gimnazjalne podzielono na dwa oddziały: jurydyczny i klasyczny; oczywiście, plan nauczania w obydwóch oddziałach czyli kursach był odmienny i prawa inne: uczniowie kursów jurydycznych mieli przed sobą tylko karierę urzędniczą i wprost z ławek szkolnych szli na „służbę“, uczniowie zaś oddziału klasycznego wstępowali do uniwersytetu. „Służba cywilna“ czyli jak mówiono „karyera urzędnicza“ nieprzedstawiała żadnych poważnych widoków, nie nęciła nikogo, to też kursa jurydyczne były przez Polaków we wzgardzie, nieuczęszczane, wkrótce zostały ograniczone nowemi reformami, a wreszcie zwinięte. Mówić jednak o nich nie będę, bo przekracza to granice w których szkic mój zamknąć pragnę.



Teraz możemy przejść wprost do szkoły Niemirowskiej ku końcowi pierwszej połowy XIX. w.

W r. 1841 na czele gimnazjum w Niemirowie stanął Jegor Jakowlewicz Zimowskij (1841—1853) jako dyrektor. Była to postać ze wszechmiar ciekawa, jako typ urzędnika ciężkich Mikołajowskich czasów, człowiek nieposiadający ani pedagogicznych ani moralnych kwalifikacyi na przewodnika młodzieży, ale jako personifikacya idei i myśli przez rząd przeprowadzanych, zasługuje na zachowanie w pamięci. Zapoznawszy się z tą postacią, możemy sobie wyrobić dokładne pojęcie o tem jak wyglądał system rządowy odnośnie do szkolnictwa, w południowo-zachodnich prowincjach i jacy ludzie system ten reprezentowali. Urzędowy panegirysta Zimowskiego, Strybuls kij, opierając się na raportach dyrektora, a nie biorąc w rachubę tego co współcześni o nim pisali, powiada: „imię Zimowskiego w życiu gimnazjum Niemirowskiego zajmuje jedno z najwybitniejszych miejsc, a śmiało i bez przesady powiedzieć można, że lata jego dyrektorstwa były świetnymi latami“.

W dalszym ciągu mego opowiadania czytelnik będzie mógł osądzić o ile rzeczywiście sąd powyższy jest „bez przesady“.

Ażeby zrozumieć moralny charakter takiego typu jakim był w swoim czasie Zimowskij, należy patrzeć na niego nie oderwanie, jako na jednostkę, lecz w oświeceniu epoki, wówczas przekonamy się, że stosownie do owego czasu jest to typ zupełnie normalny, że rząd rosyjski takich ludzi urabiał sobie, kształcił i zawsze kształci, bo polityka rosyjska, mając na celu zadania własne państwowe, potrzebuje ludzi, którzyby je popierali i wykonywali. Rzeczą przecie jest zupełnie naturalną, że rząd takich miewa wykonawców jakich potrzebuje. Inni w rosyjskiem społeczeństwie albo nieznajdują miejsca zupełnie albo z góry skazani są na zajmowanie przez całe życie stanowiska podrzędnego. Urzędnik każdy nie tyle dbał o uczciwe spełnianie swoich obowiązków, jeno o to, w jaki sposób mógł przypodobać się władzy swojej najbliższej — „naczalstwu“. Stąd też ludzie przekształcali się albo na maszyny automatyczne, pozbawione woli własnej i siły albo marnowali się, niszcząc lub zamykając w sobie wszelkie osobiste uczucia i myśli. Każdy człowiek — mówi jeden z pisarzy rosyjskich, charakteryzujący Arakcejewę, słynnego zarządcę koloniami wojskowemi, — w którym ten satrapa dostrzegał iskrę samodzielności lub miłości własnej, wydawał mu się wrogiem spokoju



publicznego; zgłębić w takim człowieku godność ludzką, zrobić z niego ścierkę, przydatną tylko do zatkania pierwszej lepszej dziury — oto był system państwowy tego męża stanu“.

Wychowawcem i współpracownikiem takiego człowieka był kurator kijowskiego naukowego okręgu von Bradtke. Późniejszy dyrektor gimnazjum Niemirowskiego Zimowski był kreaturą kuratora, — przebył więc taką właśnie szkołę rządową, pod względem lojalności rosyjskiej, idealną i rozkochał się w tym systemie, który później dla niego stał się doskonałością. Ukończywszy uniwersytet w Charkowie, Zimowski został najpierw sekretarzem kancelarii kuratora i na tem stanowisku zapoznał się ze wszystkimi wymaganiami „naczalstwa“, ze wszystkimi tajemnicami pożytecznego rządzenia szkołą. Dzięki wrodzonemu sprytowi i umiejętności podlizywania się władzy najbliższej, karyera jego słuźbowa szła nader szybko: w 1835 został urzędnikiem uniwersytetu św. Włodzimierza, w rok potem, w 25 roku życia, inspektorem 2-go gimnazjum w Kijowie, potem przeszedł do Nieżyna, a nareszcie w roku 1841 znalazł płodne pole dla swej pracy w Niemirowie.

Jeden z profesorów niemirowskich, Juszczenko, od roku już mający zaszczyt pracować pod dyrektywą Zimowskiego, w ten sposób mówił do kolegi swego Michała Czałego, który, świeżo ukończywszy uniwersytet kijowski, przyjechał do Niemirowa z dyplomem w kieszeni na profesora języka i literatury rosyjskiej: „wszedłszy do mieszkania dyrektora, jeżeli ujrzysz tam kogo najwstrętniejszego pod słońcem — kłaniaj się, bo to będzie właśnie sam dyrektor“. Istotnie, miał wygląd nie do zazdrości. Był to człowiek niewielkiego wzrostu, o nieprzyjemnym owalu twarzy, z zadartym nosem, zielonemi oczkami, włosami ostrzyżonemi krótko. Trzymał się zawsze ostro, dumnie, wiercił każdego swoim podłemi oczkami, jak gdyby pragnął wzrok swój tygrysi w duszę ludzką zapuścić. Niektórzy z profesorów nazywali go Machiavelem. Głośne imię jednak wielkiego polityka i gorącego patrioty stosowało się mało do takiego pigmejczyka jak Zimowski, którego wielkość i sława polegały na „donosach“ władzy szkolnej i na samowoli urzędniczej. Opinia publiczna mściła się na tym potworze moralnym w sposób równie barbarzyński jakim był dyrektor. Ściany domów i parkany w miasteczku upstrzone



były zelżywemi wyrazami, skierowanemi wprost do znienawidzonej jego osoby, a najczęściej nazywano go Jugurtą lub Rodinem.

Dyrektor przyznawał się otwarcie, że sprawując swoje obowiązki rządził się maksymą rzymską: *divide et impera*. Śmiało można powiedzieć, że w słowach tych streszczał się cały program jego pracy. Koledzy dyrektora, jako profesorowie i posłannicy cywilizacyjnej misji Rosyi, uosobnionej w polityce „obrusienia“, godzili się chętnie na tę maksymę, o ile ona stosowaną była do Polaków, lecz nie smakowali w tem, że ta sama zasada stosowała się do nich, którzy stanowili małą garstkę ludzi wśród społeczeństwa w owe czasy, rdzennie prawie polskiego. Czuli się oni wśród tego społeczeństwa odosobnionymi i bojało ich to, że pod boki i kierunkiem bardziej doświadczonego i lepiej myślącego człowieka niż dyrektor, mogliby swoje zadanie, rusyfikację kraju, prowadzić lepiej. Zimowski, wierny zawsze zasadzie *divide et impera*, budził i podtrzymywał ciągle wśród personelu służbowego wzajemne niezaufanie i podejrzliwość, przez co oczywiście uniemożliwiał regularną i chętną pracę na polu rusyfikacji.

Taki sposób postępowania wpływał z charakteru dyrektora, bardzo małej wartości pod względem etycznym. Człowiek próżny, ambitny, wyniosły pragnął sam całe żniwo rusyfikacji zagarnąć dla siebie, pragnął ażeby zdobycze na tem polu były wobec władzy przedstawione jako zasługi osobiste. Akcja jego w tym kierunku była potwornie wstrętną; otoczenie, jakie sam dla siebie wybrał, pozwalało domyślać się w nim człowieka, pozbawionego zupełnie zmysłu etycznego. Przejął się on do tego stopnia wielkością swego zadania politycznego, że zupełnie zatracił i zatartł cel pedagogiczny; jedną troskę miał tylko na myśli, ażeby szkoła, którą on kierował, była pod względem politycznym najspokojniejszą i najlojalniejszą. Poza szkołą, kontrolowaną w tym kierunku jak najpilniej, dyrektor w rzeczy samej nie był w możliwości przerobienia w krótkim stosunkowo czasie młodzieży polskiej na rosyjską. Musiał przeto wobec władzy zwierzchniczej uciekać się do kłamstwa i obłudy, musiał zdarzeniom czysto zewnętrznym, posiadającym charakter, że tak powiem, dekoracyjny, nadawać takie znaczenie, jakie dogadzało władzy. W tym celu urządzał z ostentacyjną paradą obchody wszelkich galówek z mowami, iluminacyami, wymuszonemi krzykami radości — i wysyłał do kuratora przesadne sprawozdania o tem, własną ręką pisane.



Do pracy na tem polu miał albo zahukanych profesorów, drżących o to, ażeby chleba kawałka niestracić i posłusznych niemo jego woli, albo oddanych sobie zbirów, pełniących te obowiązki z własnego popędu, z amatorstwem, skutkiem wrodzonej ich duszy dzikości uczuć. Jednym z najdzielniejszych popleczników Zimowskiego był dozorca internatu III. oddziału kapitan Malcew — natura gruba, dzika, bydlęca do szpiku kości. Był on synem prostego żołnierza i wychował się w szkole, wyłącznie dla dzieci żołnierskich przeznaczonej, zwanej szkołą kantonistów, która miała na celu obsadzenie swymi wychowankami niższych stopni w armii. Idąc coraz wyżej dosłużył się stopnia „fajerwerkera“, a potem oficera i w tej godności wyszedł do dymisyi. Kurator, uznawszy jego zdolności, zapewne pedagogiczne, postanowił zużytkować na tem polu siły Malcewa i wysłał go z misją cywilizacyjną do Niemirowa. Kapitan doskonale pasował zarówno do umysłowej skali swego zwierzchnika, Zimowskiego, jak i jego temperamentu. Posłuszeństwo ślepe, karność wojskowa, żołnierskie zwyczaje, brak wszelkiej samodzielności umysłowej i moralnej — oto były nieocenione przymioty na pedagoga z czasów poprzedzających przyjsie geniusza Mikołajowskiego — Bibikowa. Przełożony i zwierzchnik odnaleźli się w korcu maku. Sprytny ex-doficer zorientował się odrazu w sytuacji i zrozumiał czego od niego żąda dyrektor; wychowanców swoich traktował po żołniersku, tak jak jego traktowano w szkole kantonistów: uczył ich musztry, śpiewać pieśni żołnierskie, sypać okopy, zdobywać szturmem fortyfikacje etc. Naturalnie, dyrektor i kurator byli zachwyceni genialnością ex-oficera, który stał się tak wybornym krzewicielem „ruskiego ducha“ w sercach polskiej młodzieży. Przy każdym raporcie Malcew był przedstawiony jako człowiek, którego pożyteczna i szczerza działalność przechodzi wszelkie pochwały i zupełnie zasługuje na łaskę „naczalstwa“. Pożyteczna owa działalność byłego fajerwerkera była więcej niż podejrzaną, gdyż pominąwszy zasługi pedagogiczne, uczniowie jego oddziału byli zdemoralizowani fizycznie i moralnie, a prowadzeni tak samo jak kantonisci. Pragnąc w swoich wychowankach wykształcić ducha żołdackiej brawury, bawił ich opowiadaniem o życiu i szkole kantonistów, powlekając barwą bohaterstwa najdziwniejsze wybryki. „Co u was teraz za porządki — uskarżał się ex-oficer — dadzą któremu z was w skórę 25 różeg, i rozpacz!





Co to znaczy! U nas nie tak bywało. „Wsypią“ 200 albo 300 odrazu, położą na szynele i wyniosą półtrupa“. „Prawda — powiada w pamiętniku swoim Czałyj — od takiego nieociosanego i na pół dzikiego „sołdafana“ jak Melcew nie można było nawet nie wymagać w trudnej sprawie wychowania, lecz mimowoli nasuwa się pytanie: czyż to jego winą, że kazano mu wychowywać młodzież? Czyż dyrektor nie rozumiał całej szkodliwości tego „kazarnianego“ życia, nie spostrzegał jak demoralizująco działa ono na dzieci? Doprawdy, niejednokrotnie przychodziło mi na myśl, że takich ludzi jak Malcew wysuwano umyślnie na stanowiska wychowawców, z myślą naprzód powziętą — demoralizowania polskiej młodzieży“. Nikt chyba dawnego profesora gimnazjum w Niemirowie o przesadę nie posądzi.

Malcew nie tylko urządzał transparenta i przygotowywał ognie bengalskie i fajerwerki na wszelkie uroczystości galowe, nie tylko uczył musztry i sypania okopów, on także pilnował porządków zewnętrznych. Sprawowanie tych porządków świadczy najlepiej jak zadanie swoje rozumieli zarówno dyrektor jak i jego pomocnik i jakie mieli pojęcie o wychowaniu. Jeden przykład tylko wezmę. Na dziedzińcu gimnazjalnym zgromadzało się dużo psów, które żywiły się okruszynami kuchni internatów. Drażniło to do tego stopnia dyrektora, że postanowił sprowadzić z Bracławia „hycla“, który tuż pod oknami gimnazjalnymi urządził nie tylko obławę na psy, łapiąc je na stryczek, lecz przed oczyma uczniów odbywały się sceny, dzikie i oburzające, mordowania biednych psów. No, to już nie trzeba być chyba pedagogiem, ażeby zrozumieć, jak na wrażliwe dziecięce dusze mogły takie sceny oddziaływać. W takim „porządku“ prowadził Zimowski dzieło oświecenia polskiej młodzieży.

Niesłychana szorstkość jego i grubiaństwo nieograniczały się bynajmniej do uczniów i profesorów, on takim samym był względem wszystkich interesantów, niewyłączając rodziców i opiekunów uczniów. Inaczej zresztą być nawet nie mogło — zmienić swojej dzikiej wilczej natury on nie mógł, — była ona tylko wdzięczną pomocnicą w sprawie wykonania wielkiego planu „rusyfikacji“. Samowola i grubiaństwo tego na poły oskrobanego Tatara przechodziła wszelkie pojęcia. Razu jednego przyjechał z głębokiej prowincji jakiś staruszek i przywiózł syna, którego w internacie ulokować pragnął. Poszedł tedy do kancelaryi dyrektora i wręczył



sekreterzowi pewną kwotę pieniężną. Sekretarz zauważył że brak jeszcze kilkunastu rubli, gdyż skutkiem drożyzny wiktuałów cena podwyższoną została. W tej chwili wlatuje do pokoju Zimowski z papierem w ręku i, dotknąwszy się nosa staruszka, powiada: „proszę czytać — tu napisano“. Staruszek wyjmuje powoli okulary, nakłada i zabiera się do czytania; niecierpliwy dyrektor bije go papierem po nosie i krzyczy: „prędszej, prędszej proszę nakładać okulary i przypatrzeć się co tu napisano“. Staruszek, wzburzony do głębi, odskoczył kilka kroków w tył, dodał żądane pieniądze, a wychodząc z kancelaryi rzekł: „gdyby nie dzieci, jabym się z tobą rozprawił inaczej!“

Gbur ten obrażał na każdym kroku zarówno rodziców jak i dzieci, podpatrując słabe strony lub śmieszności rodziców i wyśmiewając je publicznie. A trzeba przyznać, że posiadał talent przedrzeźniania w większym daleko stopniu niż pedagogiczny. Wobec całej klasy zaczynał wyśmiewać tego lub owego, naśladując jego ruchy, chód, głos, wykrzywiając się jak małpa, a w tej osobistości wyśmiewanej któryś z uczniów poznawał swego ojca, wuja, lub krewnego. Razu pewnego wobec całej klasy począł naśladować karykaturalnie, do śmiechu pobudzając wszystkich uczniów, starego Gujskiego, niezwracając wcale uwagi na to, że w ławce z głową pochyloną siedział syn jego — znany później rzeźbiarz Marceli Gujski.

Zwykłym i ulubionym tematem do błaznowania dyrektora był język polski. Cała prawie młodzież gimnazjum Niemirowskiego była polską, wychowywała się do 10-go roku życia na wsi, gdzie nigdy dźwięku rosyjskiej mowy nie słyszała, nie przeto dziwnego, że nauka obcego języka szła opornie, a w mowie i piśmie ciągle popełniano polonizmy. Dyrektor starannie spisywał najbardziej używane polonizmy, do czego miał osobny kajecik, chodził z tym kajecikiem od klasy do klasy, i przeszkadzając w wykładach, zadawał uczniom pytania ku ucieście wszystkich, w rodzaju następujących: „jeżeli kogo głowa boli, jak mówią głupcy?“ „Jestem chory na głowę“ — odpowiadają uczniowie chórem. „A jak mówią rozumni ludzie?“ „Głowa mię boli“ (bolien gałowaju). Nie tylko język polski lecz i religia rzymsko-katolicka w takim samym charakterze podlegała krytyce dyrektora.

Duma, byta, samochwalstwo Zimowskiego nie miały granic, tak, że istotnie zdawało się nieraz, że ten człowiek ma pomie-



szanie na punkcie wielkości. Rozkochany fanatycznie w sobie — zachwycał się sobą, uważał się za najrozumniejszego, najlepszego, najgorliwszego z ludzi. Zuchwały wobec niższych od siebie urzędem, wobec wyższych pełzał jak żmija, zawsze z tą myślą ażeby ugryść kogoś.

Śród uczniów szukał popularności najpróżniejszej i najgłupszej, pozbawionej zupełnie powagi a często taktu. Uczniowie błaznowali z nim razem lecz go nienawidzili. Było w tym człowieku coś z idiotyzmu i dzikości Nerona: on był, a przynajmniej chciał być na każdym punkcie doskonałością. Raz, wróciwszy z łaźni parowej (bania) zebrał uczniów w kółko, po żołniersku i począł pokazywać im obnażone piersi i ręce po łokcie. „Ha, jak się to wam podoba?” zwraca się do uczniów, którzy zupełnie nie rozumieją do czego to wszystko zmierza. Spoglądają na swego dyrektora spojrzeniem niepewności i zapytania, — to zaś we wściekłość wprawia Zimowskiego. „Ech, wy! — wrzeszczy z akcentem politowania, — na ciało moje patrzcie — co za czystość i piękność! Czy w całej Podolskiej gub. waszej znajdziesz bodaj jednego człowieka, któryby ciało takie jak moje posiadał, — co?” Pielęgnował też dyrektor ciało swoje pilnie i przykładowie: codziennie wycierał je gąbką a kilka razy na dzień zmieniał bieliznę i suknię. W domu zwykle siadywał w szlafroku; wychodząc — ubierał się, wracając znowu szlafrok wdziewał, a za każdym razem inne ubranie wciągał. Takim samym amatorem był kuchni i łakoci jak czystości fizycznej: dobre cygaro, dobre wino, najlepsze konfitury kijowskie od Bałabuchy — niszczył bez rachuby. Dodać trzeba że delektował się tem wszystkim sam; gości przyjmować nie lubił i nikt też do niego chętnie nie chodził. Ten wyrafinowany samolub czuł jednak potrzebę pokrywania swojej brzydoty moralnej i lubił prowadzić z uczniami rozmowę o cnotcie i tu jednak bezprzykładne jego samolubstwo jak sztydło z worka wyłaziło. Pragnąc określić na przykładzie cnotę, powiedział: „w czasie bytności mojej inspektorem w 2-gim gimnazjum w Kijowie kupiłem dla biednego ucznia płaszcz (szniel) nie mówiąc o tem nikomu — oto jest cnota“. Praktykował on cnotę inaczej jeszcze: ile razy jeździł do Braclawia do kasy rządowej po pieniądze dla wypłacenia pensyi profesorom, kazał sobie dawać za kilka rubli najdrobniejszej monety, stanowiącej ułamki kopiejki



(denieżka i połuszka) i co sobotę rozdawał dziadom i żebraczkom, tłumnie zbierającym się przed oknami jego mieszkania.

Wogóle był to człowiek zły, którego złość właśnie i etyczne wykoszlawienie duszy stały się cennym przymiotem urzędnika, przeznaczonego do spełnienia misji narodowej rosyjskiej — rusyfikacji Polaków. Sam siebie uważał za rodzaj geniusza, rozumiejąc genialność po swojemu. Nie uznając w człowieku piękności moralnej, schylając głowę tylko przed siłą brutalną, nie mógł się wydziwić głupocie ludzkiej, która genialność widziała u Gethego lub Szekspira. Według jego mniemania genialnym mógł być tylko taki człowiek jak Napoleon I. Na równi z Napoleonem cenił także genialność Suworowa, którego lubiał małpować, naśladować jego ruchy, mowę a nawet metodę błaznowania. Fanatyczny czciciel kija i bagnetu, wyniesiony na stanowisko pedagoga, kierował się zawsze temi zasadami, na których zbudowano gmach polityki rosyjskiej. Był to człowiek głupi, jednostronny, zupełnie niewykształcony moralnie, posiadający tylko instykt samozachowawczy, który mu pozwalał z pożytkiem dla siebie oryentować się wśród prądów i opinii panujących. Mówiono o nim że umie „odgadywać” ludzi; prawda, udawało się mu to niejednokrotnie. Z powodu jednak tego przymiotu można powtórzyć i zastosować do Zimowskiego słowa, powiedziane przez Wiktora Hugo o Napoleonie III.: „inni posiadają dar intuicji, on — instykt; jest to właściwość zwierząt, lecz niezawodzi nigdy”.

Takim człowiekiem był ten, którego von Bradtke wybrał na stanowisko pedagogicznego przewodnika młodzieży polskiej w Niemirowie, mowę polskiej, bo rosyjska stanowiła zaledwie 2—3%. Z osobistością tą zapoznamy się jeszcze lepiej, zastanawiając się w dalszym ciągu nad ustrojem i życiem gimnazjalnym w Niemirowie.

*III. Obszczija kwartiry (Internat). Organizacya internatów. Oszczędności Dyrektora. Brutalstwo Zimowskiego. Różgi jako środek wychowawczy. Śmierć Zabokrzyckiego. Awantura z Wolskim i wysłanie go do Orenburga. Typ mordercy dzieci w osobie Kiltzenka.*

Już w poprzednim rozdziale wspominałem o internatach, ich zadaniach i celach. W okresie panowania Zimowskiego w internacie Niemirowskim, podzielonym na trzy oddziały było 200 uczniów,



w tej liczbie 70 Rosyan — synów urzędników i popów, gdyż własności ziemskiej Moskale na Podolu prawie nie posiadali. Instytucja internatów była w ścisłym znaczeniu „koszarami“ czyli jak je nazywano w owe czasy „kazarmami uczniowskimi“. Istotnie, urządzane one były zupełnie na sposób koszar kantonistów. Wszystkie trzy oddziały mieściły się w gmachach, otoczonych wysokim murem, z zaworzystymi bramami, poza które bez pozwolenia władzy nie wolno było wychylać głowy. W obrębie gmachu mieściły się oddziały w ten sposób, że każdy miał dla siebie osobną salę do zajęć, salę jadalną i sypialnię, jako też swój własny inwentarz. Ogólny nadzór nad internatem miał inspektor, odpowiedzialny za porządek i całość wszystkiego; dla utrzymania zaś ładu wewnętrznego jakoteż czuwania bezustannego nad uczniami byli przeznaczeni tak zwani dozorczy (nadziratiele), którzy zmieniali się w czuwaniu kolejną. Jacy to byli ludzie i jaki ich dozór, obaczmy w ciągu niniejszego opowiadania.

Internaty na prowincyi istniały do r. 1856, w miastach gubernialnych dłużej. Istnienie ich było połączone z zyskiem materialnym inspektorów i dyrektorów, dla tego też starano się je utrzymać wszelkimi siłami, chociaż rodzice zamieszcowi, na wyraźne tylko żądanie władzy, decydowali się dzieci swoje zostawiać w tych domach deprawacyi fizycznej i koszlawienia moralnego, tembardziej, że za cenę utrzymania w koszarach można było w owe czasy ulokować dziecko w mieszkaniu prywatnem pod ucziwem okiem i dozorem. Władza szkolna, z dyrektorem na czele, najchętniej widziała lokacyę uczniów u siebie, gdyż zwykle płacono za to bardzo hojnie — tytułem lepszej opieki, a w rzeczy samej ażeby dzieci zabezpieczyć od wybryków samowoli władzy, która czuła się skrzepowaną rodzicielskimi pieniędzmi. „Stancye“ dla uczniów utrzymywał także Zimowski, który brał do siebie najbogatszych — i wtedy na wszystko patrzył przez palce. Tak więc „polityczna konieczność“, jako cel rządu, godziła się wybornie z materialnemi korzyściami.

Uczniowie umieszczeni w internacie, oprócz zwykłej płacy, wnoszonej półrocznemi ratami, składać byli zmuszeni jednorazowo, tytułem urządzenia 40 rs., na umundurowanie 30 rs., srebrną łyżkę, nóż i widelec, 20 arszynów (około  $\frac{9}{10}$  metra = arszynowi) płótna serwetowego, i do tego trzeba było opłacić „repetytora“, dawać kubany w garderobie, bufecie etc. W ten sposób niewielka



na pozór opłata prawie się podwajała. Trzeba jeszcze dodać, że wniesione pieniądze lub przedmioty w naturze nie zwracały się uczniom, gdyby nawet na drugi dzień po wstąpieniu pragnął który opuścić tę jaskinię zbójecką.

Przy takim stanie rzeczy i przy bardzo samowolnej gospodarce dyrektora, będącego niejako w spółce z restauratorem, którego zaopatrywał stale w produkta rozmaite, otrzymywane ze wsi, od rodziców uczniów, będących u niego na stancyi, zawsze pewna nadwyżka pozostawała po roku. Nadwyżka ta, z polecenia kuratora przychodziła do podziału pomiędzy dyrektora i jego współpracowników, przyczem naturalnie lwią część zagarniał dla siebie dyrektor. Demoralizujący ten w wysokim stopniu zwyczaj pociągał te następstwa, że wszyscy spekulowali na żołądkach dzieci, odżywiając je w najobrzydliwszy sposób — i nie było na to żadnej rady. Ofiarą wyzysku dyrektora padali nietylko uczniowie, ale także przedsiębiorca-restaurator. Ażeby uzyskać jak największą sumę oszczędności, dyrektor przy układzie z nimi wsuwał zawsze jakiegoś „kruczka“, który umozebniał mu pewną sumę „oszczędzić“. Zwykle należność restauratorowi wypłacała się z dołu, każdego 1-go dnia następnego miesiąca według ilości uczniów znajdujących się w internacie. Gdy n. p. uczniowie na święta Wielkanocne lub Bożego Narodzenia rozjeżdżali się do domów, tak że zostało zaledwie kilku lub kilkunastu, dyrektor wypłacał za obecnych, resztę chowając do własnej kieszeni.

Tak wyglądały w ogólnych zarysach te uczono-wychowawcze zakłady, jak je rząd nazywał, a właściwie „kazarmy“ — jak je nazywali rodzice tych zamkniętych w murach dzieci. Biorąc na uwagę surowość, z jaką rząd rosyjski pragnął „zruszczyć“ polskie dzieci w internatach — uskarża się żałośnie pamiętnikarz Josif Samczewskij — można było oczekiwać w tym kierunku olbrzymich rezultatów; w praktyce jednak wyszło zupełnie inaczej. Polacy, którzy dzieci swoje lokowali w internacie, tembardziej starali się wpoić w nie polskie tendencje; większe skupienie zdawało się jeszcze więcej wzmacniać je w polskości i wytwarzać większą siłę odporną. Gdyby nie przymus, niktby dzieci swoich nie oddawał do internatu. Wogóle, dla sprawy „zruszczenia Polaków“ internaty przyniosły więcej szkody niż pożytku. Tak „kazarmiane“ życie ocenił były inspektor gimnazjum Niemirowskiego.



Istotnie, duch „kazarmiany“ panował w internacie w całej sile. Zewnętrzna strona życia była na pierwszym planie, o resztę troszczono się niezmiernie mało. Pilnowano godzin wstania rannego i wieczornego spoczynku, godzin rekreacyj, obiadów, śniadań, przestrzegano posłuszeństwa bezwzględne, ale pedagogiczna strona życia była zupełnie zaniedbaną. Karność i subordynacja wojskowa — oto były środki, którymi starano się przysposobić na przyszłość pokornych sług rządowi rosyjskiemu. Karność posuniętą była niekiedy do barbarzyństwa i smutne następstwa pociągała za sobą. W regulaminie szkolnym panowała wszechwładnie różga — aplikowana w sposób dziki, po żołniersku. Dyrektor w znęcaniu się nad młodzieżą odczuwał pewną rozkosz cielesną; czynności tej nie tylko dokonywać kazał na własny rozkaz, w swojej obecności, ale zwracał się nieraz do zdumionych profesorów i, gdy widział przed sobą okaz dobrze rozwiniętego młodzieńca, wołał w zapale: „patrz pan, co za bogata natura u tego chłopca!“ Za byle jakie przewinienie różga była lekarstwem najpierwszem i najlepszem. Razu pewnego dano znać dyrektorowi, że uczeń III. klasy Żabokrzycki, składając się słabością, nie chce iść do szkoły — a mieszkał właśnie w internacie. Zimowski kazał lekarzowi szkolnemu zbadać chorego. Badanie odbyło się na oko — lekarz zdecydował, że uczeń zdrowy. Dyrektor wydał rozkaz inspektorowi, aby natychmiast ukarał różgą Żabokrzyckiego. Z powodu rozmaitych zajęć służbowych rozkaz nie mógł być spełniony natychmiast. W chwili jednak, gdy inspektor miał zamiar przystąpić do „ekzekucyi“, dano mu znać, że Żabokrzycki umiera. Wszedłszy do sali inspektor ujrzał Żabokrzyckiego, podtrzymywanego przez kolegów, gdyż pokazało się, że uczeń był chory rzeczywiście — na bicie serca i, gdyby nie przypadek, byłby skonał pod różgami.

Brutalstwo Zimowskiego nie uszło jednak bezkarnie. Zakończyło się ono głośną awanturą, dotkliwą zarówno dla dyrektora jak i dla ucznia. Dyrektor dostał policzek, a potem został ranny w bok nożem i przepłacił grubiaństwo swoje upokorzeniem moralnem, uczeń przepłacił krewkość złamanem życia. Rzecz tak się miała. Przed rozpoczęciem obiadu, kiedy w jednym z oddziałów internatu uczniowie byli zgromadzeni już przy stole, wszedł dyrektor; spostrzegłszy że uczeń Wolski oparł się o stół rękoma, zbliżył się do niego i szarpnął za rękę; Wolski wziął na kiel i znowu się oparł. Dyrektor znowu namiętnie za rękę go pocią-



gnął, pragnąc przeszkodzić opieraniu się. Wolski widocznie stracił możność panowania nad sobą, bo w tej chwili porwał się z ławki i wymierzył Zimowskiemu policzek. Dyrektor wydał rozkaz ażeby go schwytano natychmiast, tymczasem Wolski, nieczekając długo, wyjął z kieszeni zwykły nóż składany, otworzył większe ostrze i uderzył nim w bok Zimowskiego. Naturalnie scena ta zaalarmowała całą salę, wszyscy uczniowie powstali z siedzeń, a w tej chwili nadbiegł znany nam już były „fajerwerker“ Malców i rzucił się na Wolskiego, który stał w obronnej pozycji z nożem w ręku. Zawiazała się walka między dozorcą a uczniem, w której Malców otrzymał dwie rany. Całe gimnazjum stanęło na nogach, zbiegła się służba, nadszedł inspektor — i natknął się na uciekającego Zimowskiego, który błądy, za bok się trzymając, wskazał oczyma na Wolskiego, będącego już po rozprawie z dozorcą. Nietrudno było domyśleć się co się stało, tembardziej, że Wolski stał w grożącej postawie z nożem w ręku. Dyrektora odprowadzono do mieszkania, zanesiono dozorcę, a tymczasem Wolski, oprzytomniawszy nieco, sam rzucił na podłogę nóż. Inspektor kazał go ująć i zaprowadzić do karceru. Jako fakt niesubordynacji, awantura Wolskiego jest niezawodnie bardzo smutną, lecz daleko smutniejszym jest to, jak patrzyło na ten fakt małe miejscowe niemirowskie społeczeństwo? Ono zapatrywało się na to jak na rodzaj walki z tym potworem samowoli, któremu powierzono przewodnictwo nad młodzieżą; wyrażało z jednej strony sympatię dla Polaka — niebardzo zdając sobie sprawę z winy, — z drugiej — nienawiść dla pogardzonego przez wszystkich człowieka. Wolski, siedząc w karcerze, odgrażał się ciągle, że zamorduje Zimowskiego — była to już chłodna pogroźka rozbudzonej nienawiści. Ta awantura szkolna podniosła literalnie całe gimnazjum; uczniowie, zarówno w internacie umieszczeni jak i na „wolnych stancyach“ wyrażali swoje niezadowolenie ogólnem nieposłuszeństwem i jawnie okazywaną nienawiścią dla władz szkolnych; nic dziwnego: między szkołą a jej władzami nie było żadnego moralnego łącznika; obie te części szkoły, które zwykle całość stanowić powinny, dzięki systemowi rządowemu, wszędzie przedstawiały się jak dwa obozy, będące w walce ze sobą. Nietylko uczniowie lecz i małe społeczeństwo niemirowskie uważało czyn Wolskiego za bohaterstwo. Jakkolwiek bohater siedział w karcerze, o oknie okratowanym, pilnowany był przez dozorcę Korsuna i doglądany



kilkakrotnie dziennie przez inspektora, przed oknami jego więzienia roiły się tłumy kolegów, przyjaciół, znajomych, szła wesoła pogadanka i pito wino na cześć pogromcy znienawidzonego dyrektora.

Tymczasem dyrektor lizał się z zadanej mu rany i leżąc w łóżku, gorączkowo zajmował się tem, ażeby uwięzionego ucznia pilnowano. O całej sprawie posłano raport, inspirowany przez Zimowskiego do Kijowa, do kuratora i oczekiwano niecierpliwie rozwiązania smutnej sprawy. Całe miasteczko, a nawet głuche zakątki prowincyi interesowały się nią, rozmawiano, dyskutowano, opowiadano sobie szczegóły, w ten lub inny sposób przewidywano rozwiązanie, a nawet głośno odgrażano się, że temu kto przyjedzie robić doznanie (śledztwo) wszystkie sprawki i nadużycia Zimowskiego odkryć należy. Przyjechali rodzice Wolskiego. Matce niepozwolono widzieć się z synem, na tej zasadzie, że matki-polki są czynnikami ujemnym w sprawie „rusyfikacyi“ młodzieży; ojciec uzyskał widzenie się wobec dozorczy. Wreszcie przed Bożem Narodzeniem przyjechał z Kamieńca pułkownik od żandarmów Skworców, zebrał uczniów i wypytywał ich, czy są zadowoleni z dyrektora? Znany to sposób rosyjskiej pedagogiki, praktykowany na chłopach, żołnierzach i uczniach zawsze nie z najlepszym skutkiem. Wymowne milczenie albo jedno słowo: „zadowoleni“ świadczą, że nie ma takich, którzyby się jawnie narazić chcieli na zemstę nie tylko ustępującego lecz następującego po niem „naczalstwa“. Po pułkowniku od żandarmów przyjechał z Petersburga Eugeniusz Piotrowicz Bałabin, późniejszy jezuita, jako „czynownik“ do szczególnie polecen. Był to zięć ministra Uwarowa. Zatrzymał się on w pałacu Potockiego i tu prowadził indagacyę tajemną, doszukując się w tej sprawie politycznego sosu. Przywoływał do siebie, bez porozumienia się z dyrektorem i inspektorem, jakoteż niektórych profesorów, wypytywał o przebieg całej sprawy i o stosunek dyrektora do uczniów. Chodziło mu przedewszystkiem o to, ażeby się dowiedzieć, czy czyn Wolskiego był następstwem zmywy, w której uczniowie udział brali, czy też osobistym wybrykiem obrażonej miłości własnej. Wszystko to właściwie mówiąc nie miało żadnego związku ze sprawą Wolskiego, bo sprawa ta załatwioną już była osobiście przez cara Mikołaja I., któremu natychmiast złożono raport o wszystkim. Nazajutrz po indagacyi Bałabina zakomunikowano władzy gimnazyalnej „najwyższą wolę“ Miko-



łaja, który kazał wobec uczniów całego gimnazjum dać Wolskiemu 25 różeg i wysłać do Orenburskiego pułku piechotnego jako dobosza (barabańszczyk). Stało się zadość „najwyższej“ woli. Czynność ta odbyła się z całą barbarzyńską paradą, pełną cynizmu żołdackiego. Wolskiego, krwią zbroczonego, wsadzono na sanie, wraz z urzędnikiem policyjnym, a stamtąd powędrował biedaczysko do Orenburga — jedna z miliona ofiar, skrzywionych lub złamanych przez „rusyfikację“.

Co się z nim w Orenburgu stało? Niewiadomo.

Różgi, jako środek wychowawczy, odgrywały wogóle w rosyjskim systemie wychowania ogromną rolę. Wiemy, jakie były w tym względzie zapatrywania Zimowskiego — dla niego sama czynność bicia stanowiła rodzaj dzikiej rozrywki; on niezadowolniał się patrzeniem, lecz gdy mu się zdawało, że stróż okazywał jakieś współczucie dla karanego lub smagał zbyt łagodnie, chwycił z szaloną zjadłością różgę z rąk stróża i sam wstrętne rzemiosło kata wykonywał. Doprawdy, gdyby nie garstka ludzi, żyjących dotychczas, która te niedalekie od nas czasy w pamięci swojej zatrzymała i drżącą ze strachu i obrzydzenia ręką na wzgardę potomności odmalowała, nic byśmy może nie wiedzieli o tem, jakie krwawe gody wyprawiali na ciałach polskich dzieci sępy carskie, pilnujące spokoju w niewoli. Jednym z takich zbiorów bez serca, czucia i wrażliwości etycznej był znany nam już Zimowskij. Ażeby dać czytelnikom możność wyrobienia sobie pojęcia dokładnego o tem, że Zimowskij nie był żadnym wyjątkiem, że wszyscy, z małą różnicą byli jednacy, pozwolę sobie postawić przed ich oczy znanego tyrana Fiodora Andrejewicza Kitczenko. Nie należał on wprawdzie do składu niemirowskiego uczonego ciała, ale z ducha był wytworem owej pierwszej epoki, kiedy według systemu jednolitego zaczęto przerabiać polskie społeczeństwo. Warto się z nim zapoznać, ażeby uzupełnić galerię tyranów i niszczycieli wieku młodzieńczego.

Kitczenko rozpoczął karierę swoją w Czernichowie, za Dnieprem, i już był inspektorem w tym samym czasie, kiedy rozpoczęła się działalność Zimowskiego w Niemirowie później nieco; gospodarował on w Żytomierzu, spełniając z taką samą gorliwością jak Zimowskij zadanie cywilizatora kresów polskich. Samczewskij, uczeń jego, czarnymi barwami charakteryzuje swego mistrza. Uczniowie — powiada — nazywali go „biczem“ albo „ludoja-



dem". Przez cały ciąg czasu, kiedy Kitczenko pełnił urząd inspektora, słychać było tylko jęki i łkania dzieci w gimnazyum, na pensyi i w internacie. Codziennie o 8 godz. zrana przychodził on do pensjonatu gimnazyalnego i wysłuchiwał raportów dozorców o uczniach, którzy według jego mniemania zasługiwali na karę. Znając dzikość uczuć inspektora i zamięłowanie jego do różeg, dozorczy starali się dogodzić zamięłowaniu zwierzchnika i za byle jaką swawolę dziecinną wybierali z każdego oddziału co najmniej po dwóch uczniów, a więc na 4 oddziały przypadało 8—10 wybrańców. Biedaków tych inspektor odsełał natychmiast na dół, o piętro niżej, do stróża Miny, ulubieńca swego, z powodu zamaszystości i ciętości uderzeń. Obowiązkiem jego było — oprócz katowania — utrzymywanie różeg w należyтым zapasie. Obejrzawszy czujnem okiem zakład, Kitczenko schodził do Miny i tu dopiero rozpoczynała się „egzekucya“. W czasie przerw między lekcyami inspektor wchodził do klas, przeglądał tak zwany żurnal i wszystkich uczniów, którzy posiadali jedyńki, a niekiedy dwójki — najlepszą klasą była piątka — odsełał do Miny lub też, według upodobania, polecał im po ukończonych lekcyach pozostać w szkole; rezultat tego był jednaki. O wpół do trzeciej lekcy się kończyły, wówczas Kitczenko, po wyjściu uczniów i nauczycieli z gmachu gimnazyalnego, sam osobiście obchodził klasy i pozostałych uczniów prowadził do Miny. Jęki i płacze dzieci rozlegały się w pustym gmachu szkolnym. Można bez żadnej przesady obliczyć ilu uczniów Kitczenko karał cielesnie. Zważywszy, że oddziałów było 8, a w każdym oddziale 4 lekcyje dziennie; przypuściwszy, że tylko jeden uczeń dostawał jedynekę, co jest stanowczo za mało, wówczas okaże się, że najmniej 32 uczniów karano różgami dziennie, to znaczy że w ciągu roku 10—12 tysięcy uczniów pensjonatu karano cielesnie. Po tej operacyi w pensjonacie następowała taka sama rozprawa z uczniami w internacie; w dniu świąteczne karano natychmiast, w zwykłe — po ukończeniu lekcyi. Tu codziennie bito różgami 50 uczniów, to znaczy w ciągu 300 dni szkolnych minimum 15 tysięcy dzieci otrzymywało kary cielesne. Następnie ten bohater Mikołajewskich czasów przeniesiony został do Żytomierza. Później nawet, kiedy rozpoczęły się rozumne rządy kuratora Pirogowa, który wskrzesić się starał niektóre tradycye szkolne pięknych czasów Czackiego, Kitczenko był niepomamowanym w swoim zamięłowaniu do różeg.



Ćwiczenie uczniów różgą było dla niego, jak i dla Zimowskiego, rozkoszą, przyjemnością, jedyną pracą jego na polu pedagogicz-  
nem. Oprócz karania różgą, on, w ścisłym tego słowa znaczeniu,  
nic innego nie robił. Trzeba było widzieć z jakim bestialskim  
wyrazem twarzy Kitzenko rozmawiał z nowicyuszem, dla któ-  
rego szkoła była pierwszym występem w świat z pod opiekuń-  
czych skrzydeł rodziców. Rzadko kiedy tydzień mijał spokojnie,  
a biedactwo to już jęczało w pazurach Kitzenka i Miny. Ćwi-  
czenia różgą dziecka miało dla tego barbarzyńcy taką rozkosz  
jak dla tygrysa świeża krew. Patrząc na zdrową, rumianą twarz,  
kwitnącą zdrowiem, świeciły mu się oczy do nowej ofiary i opa-  
nowywała chęć spędzenia z tej twarzy co rychlej rumieńców. Po  
roku znęcania się, matki niepoznawały swoich synów, a ujrawszy  
ich zbiedzonych, wybladłych, wychudzonych mdlały i dostawały  
płaczu spazmatycznego — a taki tygrys jak Kitzenko, taki dziki  
samolub jak Zimowskij dostawali pochwały i awanse za wierną  
służbę.

IV. „Ciało uczone“ w Niemirowie — jego skład, charakter, sto-  
sunki. Nauczyciel geografii. Czunichin. Jurko i Baryłko — lowela-  
sowie świata niemirowskiego w roli „braci marmurków“. Juszczenko  
Szwedow. Soszenko, nauczyciel rysunków i znęcanie się nad nim  
Zimowskiego. Dozorcy szkolni: Sztejn vel Szpacio. Korsun, dictus  
Kum i jego działalność pedagogiczna. Hr. Bolesław Potocki i jego  
stosunek do nauczycieli.

Życie koleżeńskie w „ciele uczone“ szkoły niemirowskiej  
dałoby się porównać do życia psa, kota, lisa, wilka, ośła i in-  
dyka zamkniętych w jednej klatce, gdyby można sobie wyobra-  
zić, że ta gromada, niemająca ze sobą żadnej łączności ducho-  
wej, może żyć wspólnie. Zwierzęta, spędzone i zamknięte w jednej  
klatce, gryzłyby się niezawodnie, aż dopóki nie pozostałoby jedno  
reprezentujące największą siłę. Rozumni ludzie musieli jednak  
godzić się ze sobą i żyli. Dzięki tej okoliczności, że każdy po-  
trzebował chleba do życia, tolerowali się wzajemnie pozornie,  
a tajemnie nienawidzili się wszyscy jak psy, które jednej kości  
wspólnie gryźć nie mogli. W tem chyba była jedyna wyższość  
ich nad zwierzętami. Świat plotek, nienawiści, upadku moral-  
nego, oszczerstw, wzajemnych był tą codzienną atmosferą szkoły



niemirowskiej, w której kształcili się przyszli robotnicy społeczni, przyszli obywatele kraju. Naturalnie, atmosfera taka zaszczeniała bezwiednie zarazki zgnilizny moralnej w młode dusze, a niejeden musiał później całe życie pracować nad tem, ażeby te zarazki z serca i głowy wyrzucić. Nie można powiedzieć, ażeby zaraza umysłowa i moralna szła tylko od Zimowskiego, wcale nie; on sam był chorobliwą narością, wypielęgowaną na drzewie polityki państwowej. Trucizna szła z jednego źródła i dla tego wspólna była w większym lub mniejszym stopniu wszystkim, którzy ze źródła tego czerpali swoje natchnienia. Tym źródłem była idea rusyfikacji polskiego społeczeństwa przez zohydzenie wszystkiego co polskie i zdemoralizowanie dzieci przez system wychowania. Zimowski był tylko narzędziem tej idei i dla niej niósł swoją pracę. Mnóstwo mieliśmy Zimowskich we wszystkich szkołach, bo rząd tylko takich cenił, tylko takich pragnął mieć, tylko takim ufał. Moralniejsi współprzewodnicy, czując wstręt do nieuczciwej roboty, siedzieli stuliwszy uszy, bez przyszłości dla siebie, radzi że im żyć jeszcze pozwolono.

Rozglądając się w sferze nauczycielskiej w Niemirowie, odmalowanej barwami współczesnych pamiętnikarzy Rosyan, a więc chyba ludzi których o przychylność dla nas i stronność posądzic nie można, mimowoli odczuwa się wstręt jakiś i chłód. Wrażenia te dają się porównać tylko do tych uczuć jakich się doznaje, czytając *Piekieło* Dantego, a mianowicie opis ostatniego kręgu gdzie szatan, siedząc wśród lodów porusza olbrzymiemi skrzydłami i chłód w piekielnej atmosferze wytwarza. A jednak, jeżeli się pomyśli, że wszędzie, dokąd tylko polskie dziecko szło po światło, zdiało się tak samo, mimowoli otucha jakaś wstępuje do duszy, nabiera się wiary w żywotność narodową kiedy dotychczas niezdolano nas złamać ostatecznie.

Przypatrzmy się tym postaciom, w których ręku było światło i moralność.

Nauczyciel geografii — na szczęście pamiętnikarz nie podał jego nazwiska — syn jakiegoś popa czy diaczka dla tego tylko został nauczycielem, że nie mógł zostać popem bo był kulawy i odrażająco wstrętny. Jako „młodszy“ nauczyciel — była jeszcze druga kategoria „starszych“, lepiej wynagrodzonych materyalnie — pobierał tylko 300 rs. rocznej pensyi, jak raz tyle, ażeby z głodu w małym miasteczku nie umrzeć; a jednak po 25-ciu latach



uczciwej służby zdołał uciulać kapitalik z 20 tys. rs. Jaką drogą doszedł do tego majątku? Wszyscy wiedzieli doskonale. Wprawdzie znany był jako skąpiec, który się żywił odpadkami kuchennymi i nadgniętymi śledziami, ale to nie przeszkadzało mu brać jawnie kubany za promocyje z jednej klasy do drugiej. Od każdego ucznia zbierał za przejściową klasę przy końcu roku po 3 rs., a ponieważ w pierwszych trzech klasach, gdzie ten filozof wykładał geografję było najmniej po 40 uczniów łatwo obliczyć wysokość podatku ściaganego z młodzieży powyższą drogą. A były jeszcze inne dochody poboczne, z utrzymania uczniów płynące, tak że oprócz gotówki miał jeszcze pieniądze w papierach. Dzięki tylko skąpstwu i kubaniarstwu mógł kupić sobie, po przejściu do dymisyi, majątek ziemski z 2000 hektarów ziemi. A nauka geografii? To inna rzecz zupełnie.

Bardzo wiele podobieństwa do krzywonogiego geografa posiadał nauczyciel języka rosyjskiego Cz unich in. Wysoki, chudy, obszarpany jak nędzarz, przybity moralnie i fizycznie i zapewne skutkiem tego wечно prawie pijany, budził litość absolutną swoim pognębieniem. Przedmiot wykładany przez niego tak samo jego nie interesował jak nikogo z uczniów. Cała jego nauka polegała na tem, że uczniowie co rok inną „odę“ wykuwali na pamięć i popisywali się na egzaminach ze staroświecką deklamacją. Była to istota bierna, pognębiona, nieszczęśliwa; kiedy nie był pijany robił wrażenie człowieka głodnego, proszącego o jałmużnę. Istotnie, bardzo jej potrzebował bo miał rodzinę liczną, żyjącą bez jutra. Nie był to człowiek zdolny do czegokolwiek nawet do nieuczciwości. Dyrektor, z prawa stosowania „systemu“ do swoich podwładnych przerabiał silniejsze charaktery na ludzi obojętnych, a słabsze spychał w błoto codziennego życia lub wyzyskiwał ich według zdolności.

Drugi nauczyciel języka rosyjskiego Don czen ko umiał tylko pisać ładnie, to był skarb jego, więc też skarb ten zagarnął dyrektor na własny użytek, każąc mu dzień i noc przepisywać jakieś szpargały. Obawa przed Zimowskim kazała mu troszczyć się o to tylko, ażeby najniżej schylać głowę przed bezpośrednim swoim zwierzchnikiem; stał się sługą, urzędnikiem, nauczanie było u niego najcięższym obowiązkiem. Spełniał tę misję swoją pedagogiczną z jedną myślą tylko, ażeby mu dyrektor nie odebrał chleba powszedniego; całe dnie tedy i noce spędzał zgarbiony



nad przepisywaniem, a doczekawszy się połowy emerytury co rychlej podał się do dymisyi.

Profesorowie matematyki pp. Jurko i Baryłko — nazwiska prawdziwe — mogliby doskonale uchodzić za typ przyjaciół, znany u nas pod nazwą „braci marmurków“. Wyborne wzory prowincjonalnych elegantów i lowelasów poza szkołą, w szkole pokorni niewolnicy i służki dyrektora. Swoją wstrętną służalczością, pochlebstwem i nadszkalowaniem dyrektorowi dodawali mu niejako tej pewności siebie i zuchwalstwa z jaką traktował innych współkolegów, zabijając w nich resztki godności ludzkiej. Obaj matematycy byli wzorowymi urzędnikami, w najpodlejszem znaczeniu tego wyrazu, wytresowani jak psy gończe, z pochlebstwem na ustach wobec dyrektora, z wyniosłością i fanfaronadą wobec współkolegów. Dyrektor liczył zawsze śmiało na to, że u nich znajdzie pochwały i poparcie swoich zasad. Z takimi sojusznikami można było śmiało iść na przełom do każdego celu, każdą drogą, z tą pewnością, że oni, jako prawdziwi niewolnicy tylko na pochwałę zdobyć się mogą. Pokora ta na dobre im wychodziła; żyli jak prawdziwi sybarycy w porównaniu z zahukanymi biedakami, niecierpiącymi się łaską dyrektora. Środki na wesołe i rozrzutne życie czerpali z kieszeni rodziców uczniów, udzielając niby prywatnych lekcji. Lekcje te polegały na tem, że profesorowie kazali sobie płacić za nie po 50 rs. rocznie od każdego ucznia, a zgromadziwszy ich razem, któremuś z najlepszych uczniów polecali przeobrazić wobec zgromadzonych te same zadanie, które na lekcji szkolnej oni sami powinni byli przerabiać. Łatwo obliczyć ile kosztowały rodziców praktyczne lekcje matematyki. Dyrektor, na taki jawny rabunek, popełniany przez swoich popleczników, patrzył przez palce, przeciwnie, chlubił się nawet niekiedy z tego, że profesorowie pod jego ojcowskimi rządami mają się bardzo dobrze, gdy w innych szkołach głodem przymierali.

„Bracia marmurki“ korzystali nietylko z łask dyrektora ale także z łaski Bolesława Potockiego. Jaki był jego stosunek do szkoły niemirowskiej i jej ciała nauczycielskiego, powiem niżej nieco, teraz dość będzie wspomnieć, że łaska Potockiego wyrażała się w rozmaitych prezentach: zegarkach, łańcuszkach, brelokach i t. p. Jeden z kolegów „braci marmurków“, profesor literatury M. Czałyj, dowiedziawszy się pewnego razu, że hrabia każdemu z nich podarował kamizelkę, oburzony stanął w obronie czci



profesorskiej i, jako homo novus, wręcz powiedział że: kamizelki i spodnie dają panowie w prezencie zwykle — swoim lokajom tylko. Miałże się z pyszna nieborak!

Ciekawą osobistością był profesor historii Rusin P. Juszczenko. Jużto trzeba przyznać, że Rusini, przeważnie z gub. Czernichowskiej i Połtawskiej, popowicze najczęściej, w sprawie wychowania polskiej młodzieży nie świetną odgrywali rolę. P. profesor był człowiekiem nie wielkiego wzrostu, na krótkich nogach, gruby, o szczeciniastych najeżonych włosach, małej główce, prostymi brwiami, z akcentem rusińskim, pełen pretensyi do światowości jakoteż do znajomości języków francuskiego, niemieckiego, a nawet włoskiego. Naturalnie, mówił niemi jak krowa hiszpańska, ale nie ścieśniał się i lubił mówić, w najlepszy humor wprawiając słuchaczy, zachwycając ich wymową prawdziwie czernichowską. Nieznając dokładnie żadnego z tych języków, puszczał się śmiało w gawędę, wyplatając koszałki opałki i stając się pośmiewiskiem uczniów. Razu pewnego, przyjechał do szlacheckiego domu na tak zwaną „kondycję“ a ujrzawszy córkę gospodarza domu, nie namyślając się długo tak do niej palnął: *ou est mon ombre, demoiselle?*

Z początku cierpiało on straszne męczarnie od dyrektora, wkrótce jednak uspokoił się, przestał burczeć i krytykować, zbliżył się do Zimowskiego i zaczął chodzić do niego wraz z Jurkiem i Baryłką na wieczorne herbaty. Słuchał dowcipów swego przełożonego z uśmiechem, ale ani jednym słowem nie zdradził swoich myśli i uczuć; w głębi zaś duszy głęboko nienawidził dyrektora, a przed ludźmi zaufanymi nazywał go Machiavelem. Nienawidzony przez uczniów, Juszczenko ustawicznie prowadził z nimi walkę, skarżył się, karał ich, obdarzał hojnie jedynkami. Całą żółć jednak wylewał on na wyrostka swego, 14-to letniego chłopca, sierotę, którego ze sobą z futoru przywiózł do usług. Nie było znęcania się, którego by to biedne stworzenie nieznosiło od swego pana. W czasie obiadu, przy herbacie, kładąc się do łóżka, wstając, zawsze ten nędzny panek moskiewsko-rusiński policzkował i szturchał biednego Karpa. Stało się to tak wielkiem przyzwyczajeniem historyka, że zastępowało mu ruch i gimnastykę. Chłopiec przyzwyczał się do tych szturchańców, znosił je obojętnie i uważał widocznie za nieodłączny przywilej „państwa“. Naturalnie Karp oddawał pięknem za nadobne swemu panu: kradł tytoń, cukier,



pruł mu rozmyślnie ubranie. A jednak, p. Juszczenko otrzymał wykształcenie uniwersyteckie i przedstawiał niepojętą mieszaninę moskiewskiego autokratyzmu z moskiewską demokracją. Raz u tego dziwnego rodzaju historyka, a jeszcze dziwniejszego człowieka, zginęła para szkarpetek; wziął tedy Karpa „na doprosy“ ale ani rusz, bestya przyznać się nie chciał. Prawdę powiedziawszy, na co temu biedakowi, który całe życie boso chadzał, potrzebne były szkarpetki? Dość, że podejrzenie na Karpa padło; historyk zastosował do niego wszystkie metody bicia i szturchania — nic nie pomogło. Zgadnij, czytelniku, jak sobie postąpił p. Juszczenko? Zaczepił sznurami pod pachwiny Karpa i powiesił go tak, że nogami podłogi dotykać nie mógł.... No, i niewiadomo, czy się szkarpetki znalazły! Wszystko to są fakty opowiedziane nie przez Polaków lecz przez kolegów szanownego historyka. Tyran ten wstrętny, stosując się do zwyczaju wszystkich pedagogów niemirowskich, dawał lekcye uczniom i ładny sobie grosz uciulawszy, zaczął się stroić, elegantować i na balach u hr. Potockiego puszczał się w tany.

Pod kierunkiem nawet takiego dyrektora jak Zimowskij zdarzali się ludzie czyści; byli oni prawdziwymi męczennikami swego zwierzchnika, ale wpływom jego moralnym zdołali się oprzeć. Jednym z nich był profesor języka łacińskiego Szwedow, drugim nauczyciel rysunków Soszenko. Szwedow nieco z pozoru przypominał biust filozofa greckiego. Czarne oczy, piękna łysa głowa, ozdobiona kosmykami kręcącymi się z tyłu i spadającymi w lokach, wydatne rysy twarzy — wszystko to czyniło z niego postać niezwykłą i piękną. On kochał swój przedmiot prawdziwie, a każdy kto wątpił o wielkim wpływie łaciny na wykształcenie człowieka — był jego wrogiem; kto skracał ilość godzin jego wykładów, skracał o tyle godzin codziennie jego życie. Absolutny niepozwalający nikomu wtrącić się do swoich wykładów, gdyż wtedy gotów był zawsze do najgwałtowniejszej awantury, Szwedow w domu bywał łagodny jak baranek wobec swojej żony. Z powodu gwałtownego i kłótliwego jej temperamentu nazywano ją Ksantypą — istna furja, która z domu pracowitego człowieka robiła piekło. Profesor, łatwo unoszący się wobec każdego, wobec żony zachowywał się jak Sokrates — spokojnie i wyrozumiale; nigdy żadne obelżywe słowo nie padło z ust jego, chociaż warunki życia duchowego i materialnego nastroczały niejednokrotnie



sposobność do uniesień. Spokojny ten i pełen łagodności człowiek, dobry profesor i dobry znawca łaciny, był niegdyś kolegą szkolnym poety Pależajewa, czcicielem jego poezyi i towarzyszem hulaszczego życia.

Drugą sympatyczną osobistością wśród gromady rusyfikatorów za chleb i dla chleba, skupionej koło Zimowskiego, był chłop Soszenko, nauczyciel rysunków, kolega z akademii petersburskiej T. Szewczenka i przyjaciel jego osobisty. W piętnaście lat potem, już za czasów kuratoryi Pirogowa był on i moim profesorem rysunków w II-gim kijowskim gimnazjum. Cicha, spokojna, łagodna, kontemplacyjna natura, pełen słodyczy, wyrozumiałości i łagodności dla młodzieży, nie żył ale męczył się w Niemirowie pod samowolnymi rządami Zimowskiego. Obdarzony duszą artystyczną, nie wdawał się w żadne polityczne roboty; energii i siły twórczej nie miał wcale dlatego też niezostawił nic po sobie coby jego imię zapisało wielkimi zgłoskami w dziedzinie sztuki, ale, sam rozmiłowany w pięknie, umiał je odnaleźć w duszy młodzieńczej i do pracy zachęcić. Pod jego okiem kształcili się portrecista Straszyński, pejzażysta Orłowski, rzeźbiarz Gujski. Pilny i staranny w pracy, Soszenko zdawałoby się być bez zarzutu, najwybredniejszego zwierzchnika mógł zadowolić, ale właśnie moralne zalety jego charakteru podniecały zawziętość i złość Zimowskiego. Nienawidził go za czystość moralną, lekceważył i traktował pogardliwie. „Ech, Iwanie Maksymowiczu — przemawiał do niego tonem litości i pogardy, obejmując prawą ręką i potrącając z tyłu kolanem — tacy wy wszyscy artyści jesteście! Jaki pożytek z waszego malarstwa — co?” Innym razem w czasie rozmowy trącał go palcem w piersi, chociaż dobrze wiedział, że Soszenko chory na piersi. Ubogi nauczyciel rysunków pobierał tylko 16 rs. miesięcznej gaży a jednak znalazł kobietę, która odważyła się pójść za niego za mąż. Naznaczono dzień ślubu. Na kilka dni przed ślubem woła go Zimowski do siebie i z łaską carską pozdrawia: „z czynem kolegiąlnego sekretarza“, ale za tę łaskę car kazał zapłacić 24 rs. do kasy państwowej. Dyrektor zachował „bumagę“ carską na ostatnią chwilę, ażeby jeszcze jedną więcej przykrość zrobić Soszence. Naturalnie ślub został odłożony na dwa miesiące, bo inaczej wypadłoby młodej parze w pierwszym miodowym miesiącu z głodu umrzeć. Ażeby scharakteryzować zarówno moralną istotę Zimowskiego, chociaż



sądzę, że czytelnik należyte pojęcie o nim już sobie wyrobił, jakoteż zachowanie się jego wobec nauczycieli, opowiem dwa fakty ze stosunku jego do Soszenka. Malarz mieszkał daleko od gmachu szkolnego, a błotnistość ulic Niemirowskich w owe czasy możnaby tylko porównać z błotnistością ulic słynnego w dziejach naszych Baru. Dżdżysta jesień uniemożliwia zupełnie komunikację nawet kołową, gdyż bywały wypadki, że w błocie ulicznym topili się ludzie, konie, kozy żydowskie. Otóż w taki wieczór jesienny przyseła Zimowskij woźnego po Soszenkę. Biedaczysko tylko co wrócił ze szkoły, gdzie miał sześć godzin lekcyi, ledwie przyszedł, zjadł obiad — i wieczór. W tem zjawia się woźny z poleceniem, ażeby Soszenko stawiał się natychmiast u dyrektora. Ubiera się chudzina, brnie przez błoto ogrodami i ścieżkami. „Pan, kochany panie Iwanie Maksymowiczu, doskonale temperujesz ołówki; bądź więc łaskaw zatemperuj dla mnie parę i dla żony jeden, — prosi dyrektor“. Zatemperował. „Czy nic więcej dyrektor nie rozkaże?“ „Nie, dziękuję pięknie“. A teraz wracaj dobrodzieju do domu.

Dyrektor pozwalał sobie na wybryki jeszcze lepsze. Umarła dozorczyni szpitala szkolnego, a pośród rozmaitych rupieci znaleziono bilet bankowy na 300 rs. — na nieszczęście imienny; spadkobiercami byli syn i córka. Dyrektor sprzyjał córce i pragnął, ażeby w całości 300 rs. przeszły do niej, trzeba było jednak ażeby ręką matki była zrobiona cesya. Każe tedy wołać nieszczęsnego Soszenka do siebie. „Iwanie Maksymowiczu — powiada — pan jako nauczyciel kaligrafii i rysunków biegły jesteś w imitowaniu rozmaitych charakterów pisma, czybyś nie mógł pan sfabrykować mi podpis — tu“. Pokazał miejsce palcem. „Niech pan weźmie pióro do ręki“. Soszenko stał oszołomiony. Dyrektor łokciem go potrącał, dogadując: „prędzej, prędzej! O czem tu myśleć? Cierpieć tego nie mogę!“ Biedny nauczyciel rysunków i kaligrafii tak był zdziwiony i przestraszony, iż zapomniał o tem, że mówić umie. Coś bąknął ni w pięć ni w dziewięć, zabrał się cichaczem i wyszedł.

Niedaremnie też miał strach przed tym człowiekiem. Ile razy go spotkał, zdejmował machinalnie czapkę z głowy, stawał w pozycji wyprostowanej jak struna i czekał w milczeniu aż ten potwór, przysłany do rusyfikowania polskich dzieci, ominie go szczęśliwie.

W szkole niemirowskiej byli jeszcze niedobitki-nauczyciele Polacy, wykładający naturalnie po rosyjsku, jak Grudziński i inni lecz o tych mówić wcale nie będę.



Ażeby uzupełnić obraz wychowania polskiej młodzieży przez rosyjskich pedagogów, wspomnieć muszę jeszcze o dozorcach szkolnych (nadziratelach), których obowiązkiem było przestrzeganie moralności i dobrego zachowania się uczniów; trzech dozorowało w kazarmach, dwóch przeznaczonych było do pilnowania młodzieży, ulokowanej na stancyach prywatnych. Ażeby dać czytelnikowi pojęcie o tem jakiej moralności i charakteru ludzie przeznaczeni byli na te stanowiska, najprzód przypominam to com już o jednym z nich powiedział, mianowicie o Malcewie. Wracać przeto do tej postaci już nie będę.

Wogóle byli to ludzie prości — pod względem wychowania i wykształcenia, — którzy zupełnie obowiązków swoich i zadań nierozumieli, stali zaś na stanowisku szpiegów i donosicieli dyrektora, płatnych jednak przez rząd. Byli oni poprostu dostarczycielami wiadomości i faktów, zbieranych pracowicie po całym miasteczku, składali to wszystko do skarbicy dyrektora, który w raportach do kuratoryi operował tymi faktami według własnej woli, fantazyi, potrzeby, oświecał je światłem Bibikowskiej dyrektywy.

Najstarszym był Kajetan Demianowicz Szejn, pół Niemca pół Polaka, figura von Bradtke'go. Przyjechał on z nim razem na otwarcie szkoły Niemirowskiej — i pozostał już w charakterze dozorca. Uczniowie nazywali go powszechnie „Szpakiem“, nie wiadomo tylko czy nazwa ta stosowała się do ptaka czy do konia. Prawdopodobnie do ptaka, a skrócony przydomek „Szpacio“, zapewne stąd pochodził, że Szejn chętnie powtarzał przed władzą wszystko co słyszał. Nieodpowiadało to w zupełności naturze szpaka, dość jednak, że przezwisko przyrosło do tego człowieka nieodłącznie. Wobec władzy uchodził za Moskala, wobec młodzieży i Polaków — za Polaka. Taka dwoistość jego charakteru bardzo mu była przydatną dla uzyskania zaufania Zimowskiego i łatwowiernych ludzi. Był on dozorcą, można powiedzieć, od polityki. Wszystkie plotki polityczne, własne domysły i wymysły powtarzał dyrektorowi. Jako zawołany myśliwy, zbierał te kaczki na wszystkich błotach okolicznych. Czując za sobą plecy dyrektora, „Szpacio“ lubił stawiać się niekiedy ostro wobec niektórych profesorów, ale zawsze coś po uszach oberwał. Największy jego protektor Zimowskij traktował „Szpacia“ w najbrutalniejszy sposób, łąał go głośno przy wszystkich, a raz nawet, na ulicy, wpadłszy w gniew, podniósł na niego laskę. Szejn odchylił się,



a po grzbiecie dostała kijem, idąca obok spokojnie świnia. Trzeba wiedzieć, że w Niemirowie dotychczas jeszcze wszystkie zwierzęta domowe odbywają spacer publiczne na ulicy. Dyrektor, nietrafwszy „Szpacia“ podniósł laskę i pogroził mu: „ja pana kiedyś tak potraktuję jak tę świnie!“

W innym stylu był dozorca Jefim Iwanowicz Korsun, sic dictus Kum, człowiek zupełnie nieociosany jak kłoc, ledwie umiejący czytać i pisać. Mimo to był postacią ze wszech miar ciekawą i charakterystyczną. Gruby, kłocowaty, niezgrabny, z ruchami parobka od gnoju, Kum podobniejszy był do mało-miasteczkowego policyanta niż do urzędnika z ministerium oświaty. W rzeczy samej niewiem dlaczego zaliczano go do dozorców szkolnych, gdyż faktycznie był on lokajem, a w razie potrzeby parobkiem dyrektora i spełniał w jego domu wszystkie najuniżeńsze posługi. Była to dawna znajomość z Nieżyna jeszcze, gdzie Zimowski był inspektorem, a Kum dozorcą kuchni. Szkół nie miał żadnych, do tego zaś, ażeby mógł zająć wysokie stanowisko dozorczy szkolnego potrzebował mieć pierwszą rangę służbową (koleżkij registrator), która niemogła być nadaną temu, kto bodaj niższych szkół nieukończył. Korsun kupił sobie potrzebny patent vulgo świadectwo szkolne za kubany i — wstąpił na drogę pracy do ministerium oświaty.

Właściwie trudno byłoby się dowiedzieć jaką rolę w „oświacie“ odgrywał Kum, gdyż w szkole bywał rzadko, a zwykle pełnił funkcje „czynownika do osobnych poleceń“ przy dyrektorze. Był jego sługą, powiernikiem, ochmistrem dworu. Gdy Zimowski wyjeżdżał na żeniączkę, oddał mu polecenie oczekiwania nowożeńców z nastawionym samowarem za trzy tygodnie. Na nieszczęście dyrektor spóźnił się o trzy dni — Kum przez cały ten czas literalnie spełniał polecenie i dzień i noc dmuchał do rury od samowara, a zmęczony zasypiał wprost na podłodze, w przedpokoju dyrektora, nie zdejmując nawet munduru. Nie zawsze jednak Kum wywiązywał się ze swego zadania jak stoik. Innym razem gdy dyrektor wyjechał z żoną na parę tygodni, a Kuma zostawił na gospodarstwie, alter ego nie tak świetnie z zadania swego się wywiązał. Była to natura prosta, szeroka, rubaszna, umiejąca panować nad sobą tylko wobec siły i władzy, ale i tu niekiedy zwierzęcość brała górę nad obawą. Znalazłszy się sam na gospodarstwie począł grać w karty, do kart dobry kolega-kieliszek, do kieliszka — zakąska. Wszystkiego tego było



podostatkiem w piwnicy dyrektora. Niedługo tedy namysławiając się począł Kum z tej piwnicy czerpać — czerpał co znalazł: wino, wódkę, konfitury, których wielkim amatorem był dyrektor; ale że wszystko wyczerpać się musi, wyczerpała się i piwnica. Długo dostojny naczelnik gniewał się na swego „adjutanta“, ale dał się jednak przebłagać i znowu wszystko poszło najlepiej.

Z początkiem wiosny Kum z dozorczy szkolnego przekształcał się na pasiecznika i ogrodnika. Do świtu szedł na pasiekę dyrektorską, a wracał do miasta dopiero w nocy, a jeżeli udało mu się złapać rój, pędził jak szalony wprost do Zimowskiego, a wszystkim, kogo tylko ze znajomych spotkał po drodze, chwalił się dumnie: „dzisiaj rój złapałem“. Gdy zaczęły dojrzewać wiśnie w sadzie, oddanym przez hr. Potockiego do dyspozycji całego grona nauczycielskiego, a który pod wyłączną jurysdykcję zagarnął dyrektor, wówczas Kum pilnował, ażeby wróble nie objadły wiszeń, a łobuzy z miasteczka nie kradli jabłek i gruszek.

Pomimo wszystko co było, i jak było, Kum i dyrektor żyli ze sobą jak Leszek i Mieszek — tylko niedzielili się tak po bratersku wszystkim. W ciągu długiej swojej kariery raz tylko Kum, z którego synami miałem zaszczyt kolegować w Kijowie w r. 1860 i 1861 w niższych klasach gimnazjum, obraził się na Zimowskiego. Było to z powodu następnego. Car Mikołaj I. miał przejeżdżać przez Niemirów. Jechał zwykle traktem pocztowym, a na stacyach zatrzymywał się tyle tylko, ile czasu zabierał przeprząg koni. Otóż chodziło o to, ażeby miejscowi dygnitarze mogli się na stacyi zebrać i bodaj popatrzeć na cara. Zimowskij wysłał na stacyę Kuma z poleceniem aby dał mu znać kiedy car z poprzedniej stacyi wyjedzie. A wówczas tylko kuryery wiadomości takie rozwoziły. Oczekiwano cara w nocy, ale pewności nie było żadnej czy przyjedzie — przeciwnie spodziewano się, że się na nocleg zatrzyma i dopiero nazajutrz stanie w Niemirowie. Wszyscy tedy spali w najlepsze, zasnął i Kum, a tymczasem car przyjechał, zaledwie parę słów z właścicielem Niemirowa wymienił i odjechał. Kum dopiero po odjeździe cara dowiedział się, że już po wszystkim. Nie traci jednak przytomności leci wprost do dyrektora, opowiada duby smalone o przejeździe cara — który przespał — i powtarza szczegółowo rozmowę, jaką Mikołaj prowadził z Potockim. Zimowskij domyślił się łatwo, że Kum rozmija się z prawdą. „A w jakim języku car rozmawiał z Potockim?“ zapytuje go. „Po francusku“. Tego już było dosyć nawet dla Zimowskiego.



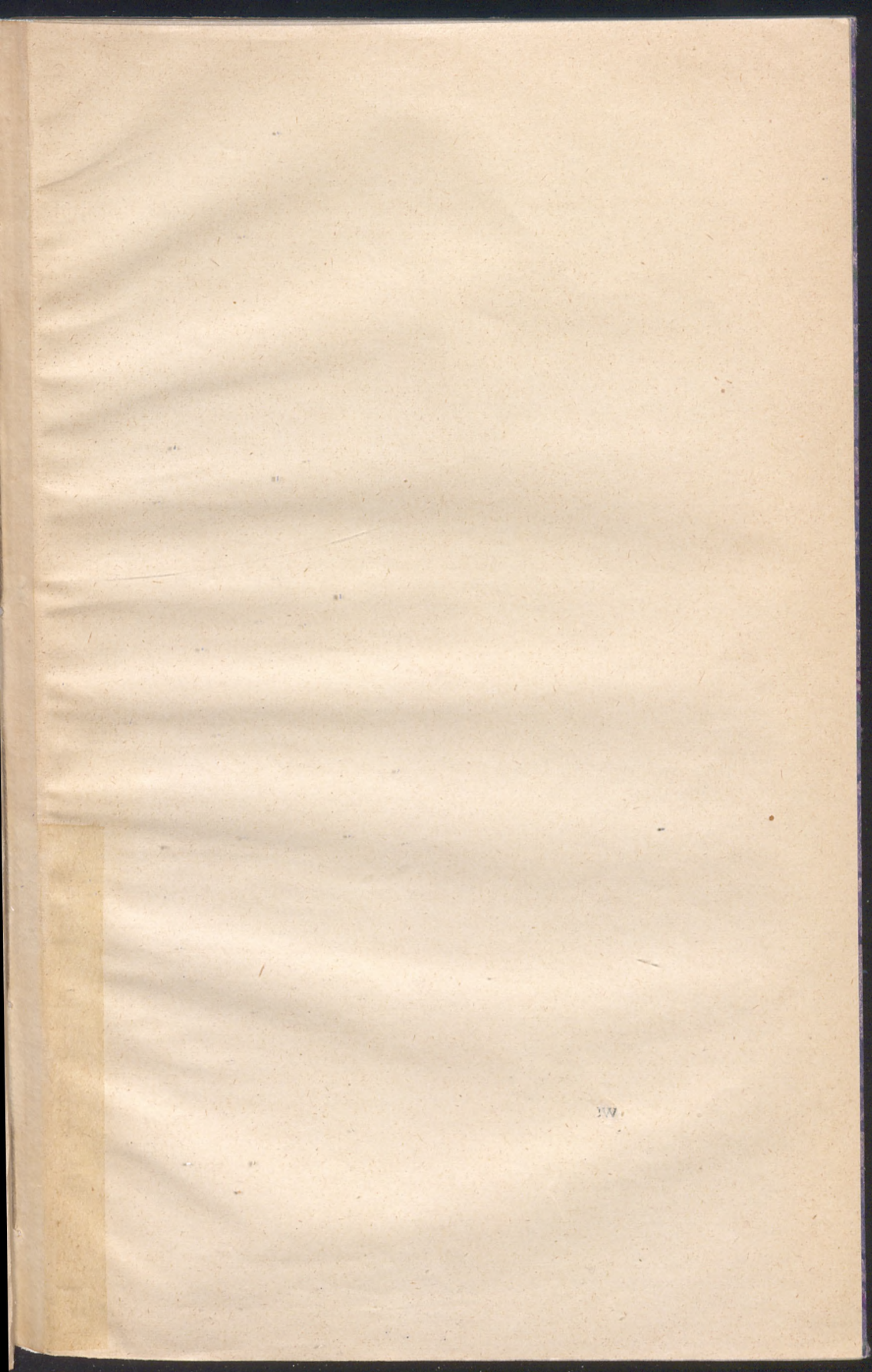
„Ach, ty Balzaku! — woła do niego — skądże wiesz jak rozmawiali, kiedy ani be ani me nie umiesz francusku!” — Po tem dopiero Kum obraził się. „Bardzo pięknie dziękuję Jegorze Jakowlewiczu! — rzekł obrażony — za moją szczerą służbę nazywacie mnie Balzakiem! Jeszcze takimi obelżywymi wyrazami nikt mnie nie łajał”. Nic dziwnego. W ustach Kuma każdy cudzoziemski wyraz przemieniał się w sposób oryginalny: chapeau claque był u niego szapokłaczem, wentylator wentynatorem, medaljon mandaljonem, a Macbetha stale nazywał Bachmetem.

Szkic mój byłby niekompletnym, gdybym jeszcze kilku słów niepowiedział o Bolesławie Potockim, którego niezaprzeczonej wspałałomyślności gimnazjum Niemirowskie zawdzięczało swoje istnienie. Wspomniałem już o tem co on uczynił dla szkoły. Tego jednak mało. Pałac jego stał się niejako punktem dośrodkowym dla tych wszystkich, którzy hojną dłońią rozsiewali światło nauki z polecenia rządu rosyjskiego wśród polskiej młodzieży. Potocki lubił mieć u siebie całe „ciało nauczycielskie“, które wspaiałe podejmował w czasie wielkich uroczystości galowych lub kościelnych. W chwili, której obraz kreślimy, znakomici matematycy niemirowscy, Jurko i Baryłko, cieszyli się faworami Potockiego, ubrani w surduty i kamizelki, podarowane przez niego, obwieśzeni brelokami i łańcuszkami, posiadanyimi z jego łaski, byli częstymi gośćmi salonów hrabiego. Potocki żonaty był z hrabianką Sałtykową, wkrótce owdowiał, a z małżeństwa tego pozostała jedyna córka, którą ojciec chował w religii prawosławnej, zbudował dla niej wyłącznie w pałacu cerkiew i sam, wraz z córką w mundurze kamerhera przy nabożeństwie asystował, otaczając szczególniejszą łaską tych z nauczycieli, którzy uczęszczali do cerkwi pałacowej. Córkę swoją Potocki chował po rosyjsku, edukację zaś prowadziła w tym języku nauczycielka, polecona Potockiemu przez carową Aleksandrę Teodorównę. Później córka ta wyszła za mąż za hr. Strogonowa i część olbrzymiej niegdyś fortuny, mianowicie klucz Niemirowski, wniosła jako posag do domu męża. Wogóle hrabia okazywał sympatye swoje dla Rosyi nie tylko w stosunku do religii i osób, lecz nawet do furmanów, gdyż jeździł po moskie sku i rosyjskie obyczaje w domu zachowywał.

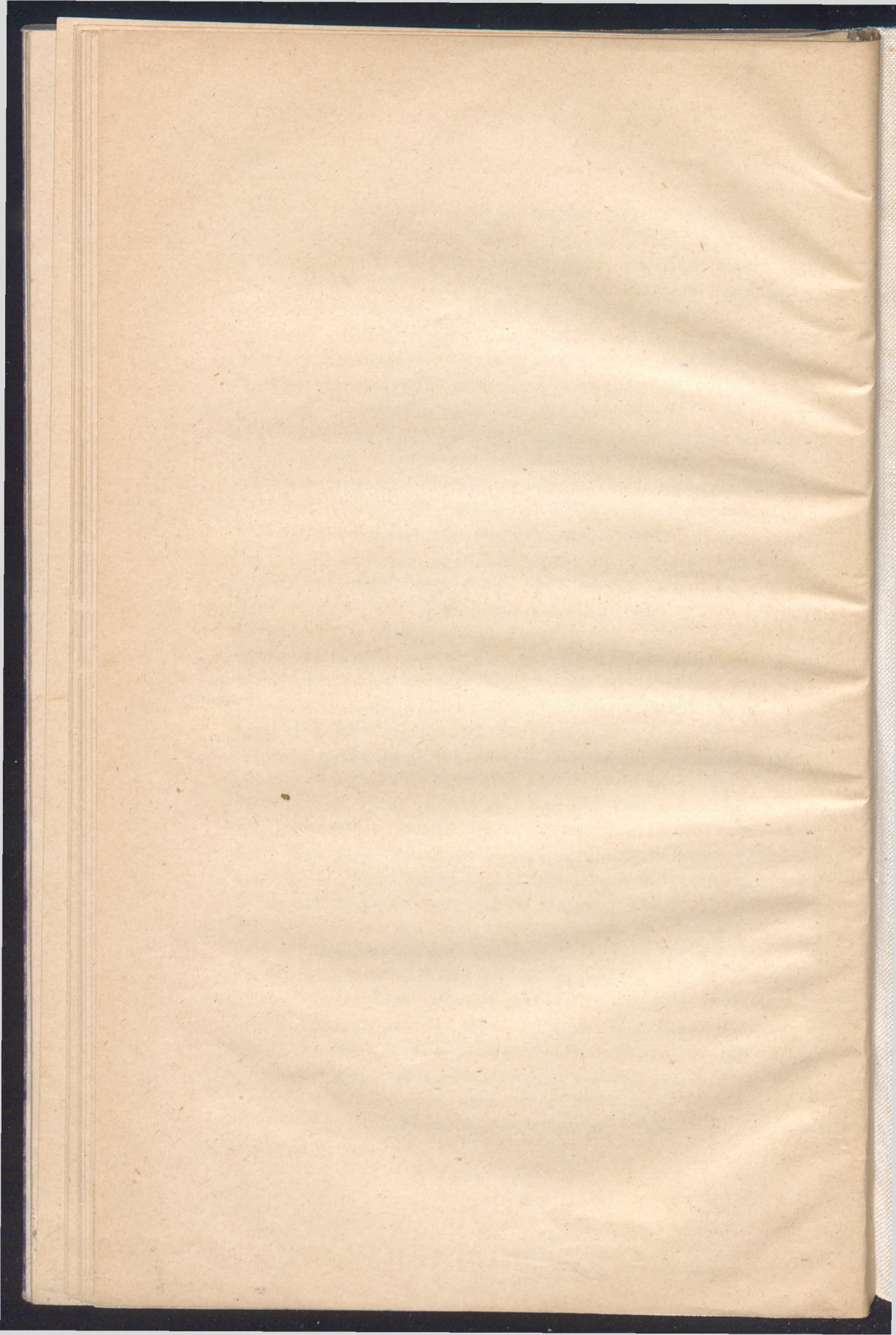
Po Potockim zieć jego Strogonow wraz z majątkiem objął duchową opiekę nad szkołą Niemirowską, — ale to już do rzeczy nie należy.













J. Janowski, 19. II. 1949



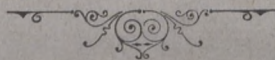
Tegoż autora:

Pogląd na historię rolnictwa w Polsce. Lwów 1894.

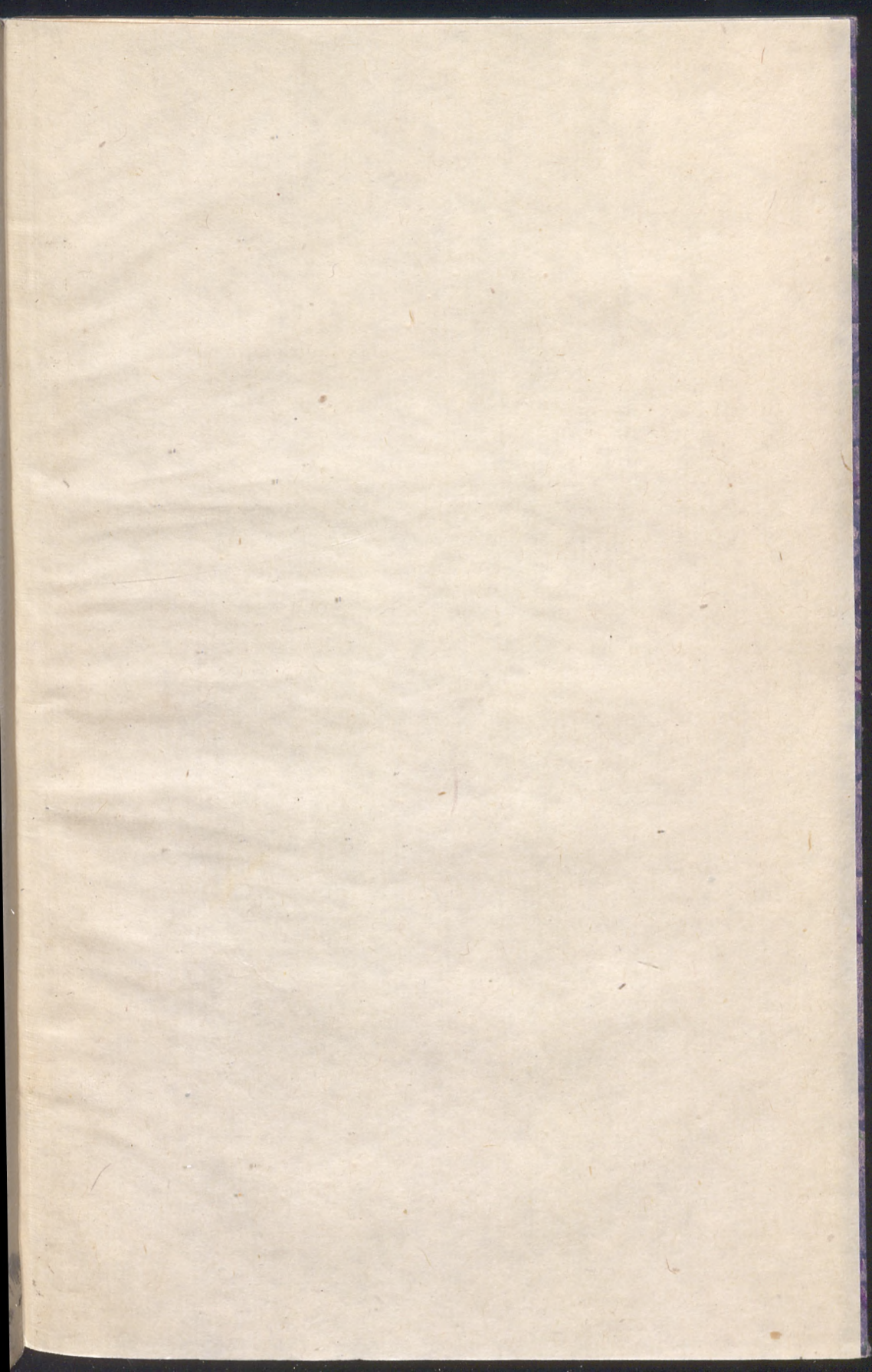
Prawo bartne XVI. w. Przyczynek do historii pszczelnictwa w Polsce. Lwów 1895.

**Rok 1794** — Warszawa. Opowiadanie na tle dziejowym. Lwów 1895. Jakubowski i Zadurowicz.

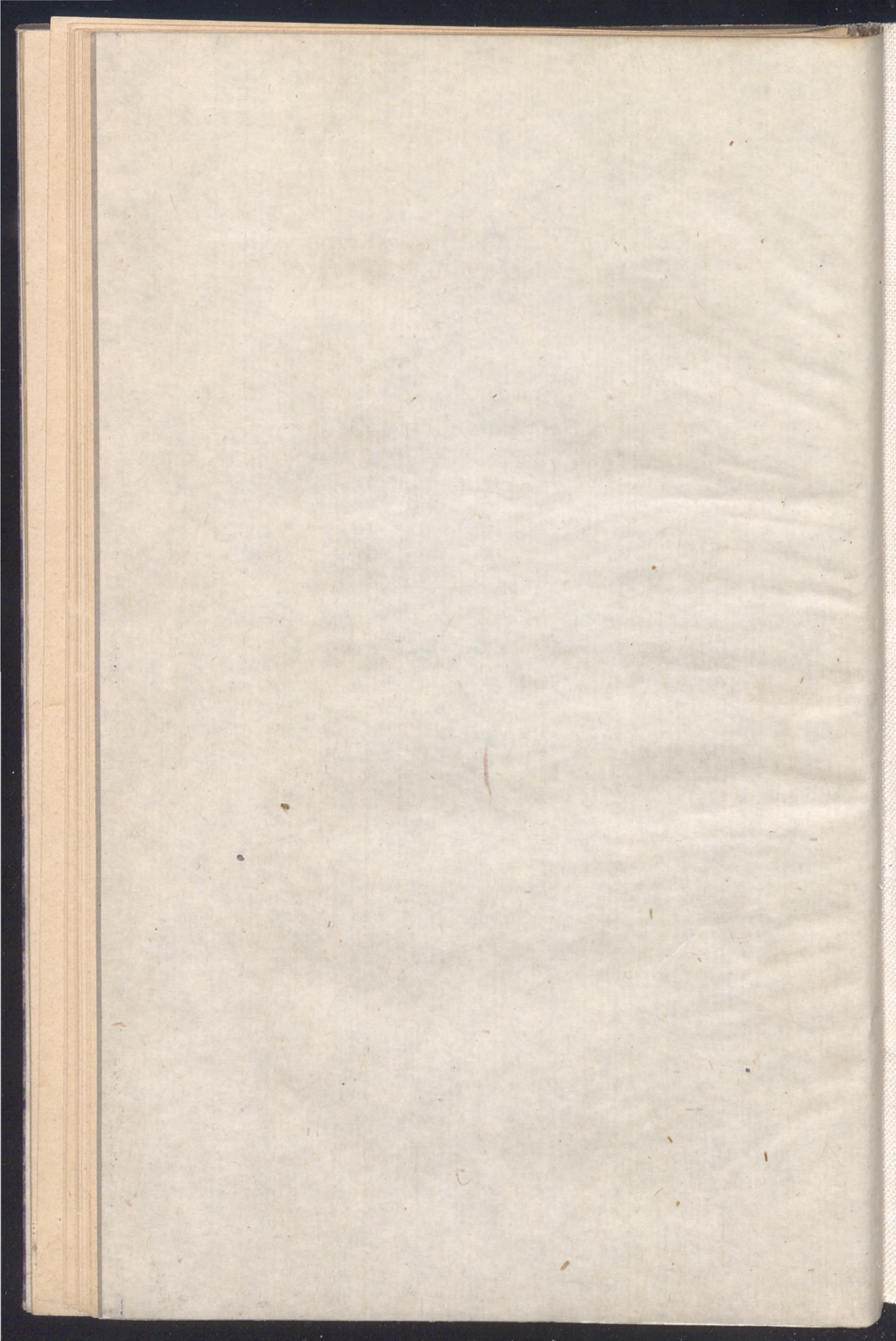
**Rok 1794** — Racławice. Opowiadanie na tle dziejowym. Lwów 1895. Jakubowski i Zadurowicz.



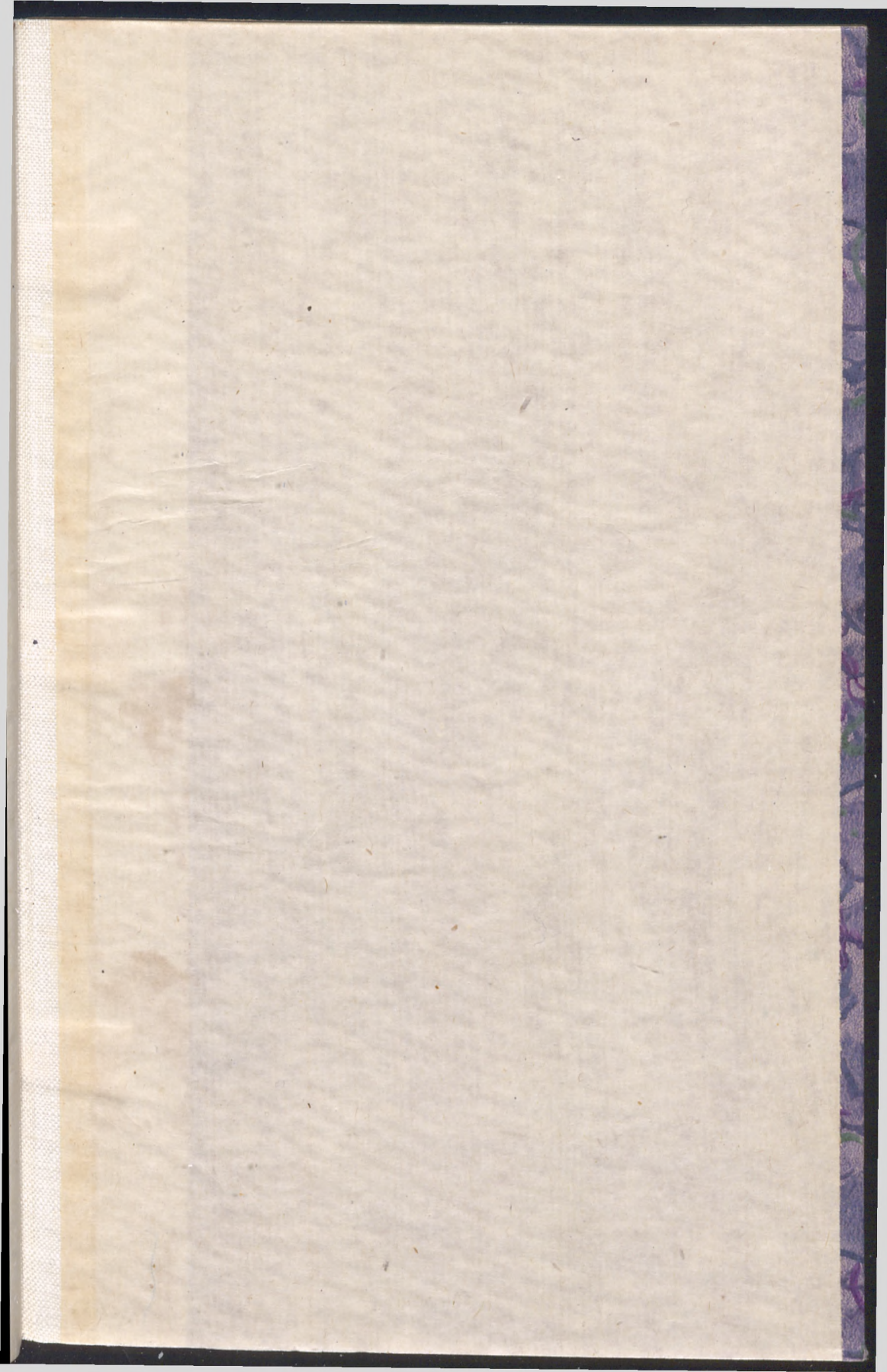
















69700

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001005042090